

ZEW GÓR

Serdeczne życzenia z okazji imienin składa P. Prof. Teresie Harsdorfównie, Opiekunce naszego pisma

REDAKCJA.

Dla piszących artykuły

Artykuły pisane czysto na jednej stronie arkusza, z pełnym nazwiskiem, należy składać najpóźniej do 25 każdego miesiąca na ręce naczelnego redaktora, sekretarza, ewentualnie członka Redakcji – gimn. II im. B. Chrobrego w Nowym Sączu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kol. Strózikówna Irena III b. gimn. kupieckie: (nowela »Po tej i tamtej stronie«). Widać pewne zacięcie nowelistyczne – ale są jeszcze duże braki i usterki. Błędy stylistyczne i częste powtarzanie, kompozycja trochę naiwna. Należy poważnie popracować nad formą – a wtedy – zobaczymy...

Kol. Jula W. kl. III a gimn. ż.: Bardzo ucieszyły nas wyrazy uznania, zawarte w wierszyku koleżanki, niestety jednak »Wiwat Zew Gór« nie nadaje się do wydrukowania w naszym piśmie.

Drugi wierszyk bardzo miły – ale też jeszcze nie na poziomie – popsuła całość ta wstawka z »statystyką«, która jako żywo nie licuje z »szumem lasu«.

Kol. Reczek kl. II 369. Miłe i przyjemne są wierszyki kolegi – niestety jednak żaden nie nadaje się jeszcze do »Zewu Gór«. Proza »Odrodzenie« dużo słabsza od wierszyków (ujęcie b. naiwne); radzimy raczej popracować nad formą wierszy – a wyniki będą na pewno lepsze...

Kol. Sękowski Jan kl. III gimn. Stary Sącz. Artykuł kol. ujęty jest w suchy, referatowy sposób; wiadomości zawarte w nim można znaleźć w podręczniku do geografi. Reflektujemy na art. regionalne – ale chodzi nam też o oryginalność ujęcia i wartość literacką...

– O –

Sprostowanie

Złośliwy chochlik drukarski sprawił, że do ostatniego numeru Zewu Gór (40–41 z czerwca) zakradło się kilka przykrych omyłek, które nieświadomy rzeczy Czytelnik mógłby sobie opacznie tłumaczyć. I tak: 1) drzeworyt na str. 7 (Matejko) wykonał A. Bodziony z lic. mat.-fiz. (368) a nie M. Reguła, 2) na str. 25 w podpisie pod artykułem ma być **368** a nie 369, 3) na str. 27 ostatnie zdanie »Kroniki« (wiersz 1—2 od dołu) winno brzmieć: Czym to tłumaczyć?

REDAKCJA

P. Prof. E. PAWŁOWSKI – redaktor odpowiedzialny, kol. St. TAKUSKI, kl. II Lic. hum. 369 – redaktor naczelny; koleż. H. BARBACKA, kl. II Lic. hum. SS. Niep. – zast. red. nacz.; kol. J. SAJDAKÓWNA, kl. II Lic. ped. – zast. red. nacz.; kol. M. GOMUŁKA, kl. II Lic. hum. – sekretarz naczelny.

KOMITET REDAKCYJNY

Dział literacki: Ref. J. Sajdakówna. Członkowie: H. Barbacka, M. Symczakówna kl. I Lic. ped., Z. Zehetgruberówna kl. II Lic. hum., R. Cabaj kl. IV b 369, T. Langer kl. II Lic. mat. **Dział naukowy:** Ref. St. Takuski. Członkowie: J. Sajdakówna, Weisówna kl. IV G. żeń., Gryziecka kl. IV G. żeń. **Dział regionalny:** Ref. H. Barbacka. Członkowie: Mordarska kl. III b G. żeń., **Dział sportowy:** Ref. M. Gomułka. Członkowie: Gryziecka. **Dział „Nasze życie“:** Ref. M. Symczakówna. Członkowie: Kubiszówna kl. IV G. żeń., T. Langer, R. Cabaj. **Dział rozrywek:** Ref. T. Langer, J. Sajdakówna. **Dział harcerski:** Ref. M. Jasińska kl. I Lic. przyr. **Dział recenzji:** Ref. J. Sajdakówna. **Dział graficzny:** Ref. Z. Nodzyński kl. II Lic. hum.

Opiekunowie pisma:

P. P. Prof: E. Pawłowski, E. Somogyi, R. Reguła, T. Harsdorfówna.

Administrator: Prof. EMERYK SOMOGYI.

Kierownik działu graficznego: Prof. R. REGUŁA.

Warunki prenumeraty „Zewu Gór“:

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową rocznie 3 zł, półrocznie 1 zł 50 gr, kwartalnie 1 zł. Należytość uprasza się przesyłać przekazem pocztowym pod adresem Administracji czasopisma, Nowy Sącz, ul. Pijarska 15 Prof. Somogyi.

»ZEW GÓR«, Czasopismo Młodzieży Szkół Średnich w Nowym Sączu wychodzi co miesiąc w Nowym Sączu.

ADRES REDAKCJI: Nowy Sącz, Gimnazjum II, im. Kr. Bol. Chrobrego ul. Jagiellońska 63.

» ADMINISTRACJI: Prof. Emeryk Somogyi, Nowy Sącz, ul. Pijarska 15.

Cena egzemplarza 50 gr.

Cena 50 groszy.

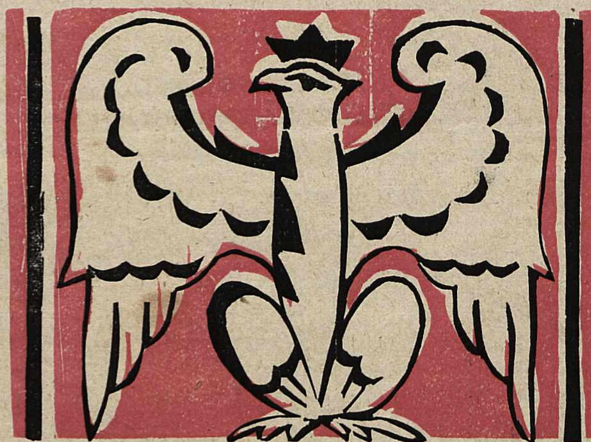
ZEW GÓR

Miesięcznik Młodzieży Nowego i Starego Sącza.

Rok V. **Nowy Sącz, wrzesień - październik** 1938 **Nr 42-43**

ZAOLZIE NASZE!







...Minęła zima, minęła wiosna, rozpyszniło się niebo słoneczkową urodą.

Nadeszło lato, złote, jasne, brzemienne w rozkwitającą radość ludzkiego serca. Człowiek wychodził na boży świat i patrzał na wszystko jak dziecko, co długo niemocne leżało, a teraz po raz pierwszy przed próg wyjrzało i zacudowało się na dziwy. Toć to przecież nic się nie zmieniło od tamtych chwil, co kiedyś były, a jednak jak bardzo się zmieniło!... Jak bardzo się zmieniło!... To samo niebo ze słońcem, ta sama ziemia z ludźmi, te same kominy z wiechami płowych dymów, i drogi, i drzewa, i wszystko, a jednak inne! W sercu tworzą się szczelinki, na dwoje się rozpęka, rozkłada, jak pąk nieznanego cudownego kwiatu, że teraz płonie w słońcu swą niepojętą krasą, czerwieni się, w cud przemienia. Wszystko co minęło – snem się teraz wydaje, zmorą obmierzłą, co tak długo pastwiła się nad ciałem i sercem. I jak o świtaniu noc rozpływa się w smętne wspomnienia, tak minione zdarzenia odchodziły gdziesik, do sennych widziadeł podobne, co już powrócić nie mają. Wszystkie lata udręki i walki, wszystkie krzywdy i trwogi grozy dni trzykrotnych powstań i grozy widoków krwi i skonów – wszystko, wszystko zamieniło się teraz jakoby w garść ciężkiego, zdrowego, złotego ziarna pszenicznego, które radosna dłoń do spichrza zsypuje.

A więc już kres nadszedł złym mocom? Już kres nadszedł?... Ludziska zastanawiali się nad owym dziwnym zdarzeniem, jeden drugiego dopytywali, utwierdzali w radosnej wierze, dzielili szczodrze pospólnym weselem.

– Dyć już w czerwcu to bydzie!... Dyć już zaniedługo!... za dwa tydnie!... za jeden!...

– Naisto? Czy też naprowdy?

– Mój ty święty Boże!... Tóż jednak się doczkaliśmy!... Jednak!...

– O, chwałaż ci też roztonajmilejszy Panie Boże, chwała!...

Kiedy Gustlik pewnego dnia wrócił ze szychty, a Helenka przedeszła go, z daleka pokazując mu gazetę, a potem kiedy siedli na przydrożnej szkarpie, on, umorusany, z czarnymi łapami, Helenka w fartuchu i z tym rozpylonym słonkiem w puszystych włosach nad czołem i skroniach, i kiedy obydwoje jęli palcami wodzić po czarnych literkach i przychwytywać, żeby źrenice potrafiły je wyłuskać i w jasne zrozumienie przemienić, kiedy wyczytali, że wojska polskie wkraczają na Górny Śląsk 20 czerwca, by odebrać z powrotem osieroconą ziemię i Polsce oddać — przeogromna radość wezbrała w ich sercach. Gustlikowi zmętniały w onej chwili przymrużone oczy, jakąś słodką rosą się powlokły, Helenka zaś złożyła dłonie, do piersi przycisnęła i znieruchomiała w dławiącym ją wzruszeniu. Wyczuła, że zrywa się w niej drobne serce, jakby jakiś ogromny ptak o szerokich, szerokich skrzydłach, że tymi skrzydłami bije i łopoce w jej piersi, wylecieć pragnie, na kraj świata ponieść i krzyczeć, i krzyczeć!... A potem rozpłakała się...

Hawierze, co szli ze szychty, przystawali obok nich coraz większą gromadą, podawali sobie Helenczyną gazetę z rąk do rąk, na głos czytali, powtarzali wyczytane słowa, a potem je nieśli do domów, po drodze rozdawali radość, w każdym niecili szczodrobliwie.

Ludzie żyli teraz w jakimś radosnym odurzeniu.

— —

Wszystka ta radość wzrosła w dwójnasób od chwili, kiedy dowiedział się o rychłym nadejściu godziny, w której oczy ujrzą widomy znak ziszczonych snów i proroctw sybilijnych i nadziei i pragnień: kiedy wojsko polskie na Górny Śląsk wkroczy.

– Słyszycie ludzie?!... Polskie wojska na Górny Śląsk wkraczają!... Polskie wojska!...

– Słyszycie ludzie?!...

Zakłuło go w sercu, bo sobie przypomniał, że na jego Śląsk cieszyński, poza Olzę, nigdy już może wojsko polskie nie wejdzie! Nigdy?... A może przypadnie jeszcze tamtej krainie dalszych kilkaset lat czekać na ową chwilę, jak tego czekać będzie musiał i Śląsk nadodrzański?

— —

Złowróżebne myśli rozleciały się za jednym spojrzeniem na świat i ludzi. Owładnęła go powrotnie radość, co naokoło rosła szumna i hyrna.

– Wojsko polskie na Górny Śląsk wkracza!... Słyszycie ludzie?...

– Mój Boże święty, że się już tego człowiek doczkoł!...

Mijał dzień jeden za drugim, szybko jakoś, że aż na dziwy.

– Wiecie, co wóm powiem? — rzekł Gustlik do wszystkich, co przed sienią siedzieli; do Helenki, Emila, Helmy i do swojej i Emilowej matki: — Wiecie, co wóm powiem?

– No, co synku, co? — zapytała skwapliwie stara jego matka.

– Że my se jednak ten chodnik do Polski wyrąbali!...

Wzięli wszyscy te słowa w milczeniu do swych serc i zamyślili się, gdyż były trafne i takie jakieś, jakby z tej ewangelii świętej wzięte, którą ksiądz proboszcz na ambonie czyta. Jego matka tylko zapytała:

– Jak to myślisz, synku? Jak?

– No tak to myślę: jak hawierz zasypany we filorze bierze szramówkę i zaczyno

kuć w caliznę i kuć... tak długo, aż się kiedyś do ludzi dogrzebie, aż se taki chodnik wyrąbie we węglu i na swobode wyjdzie... tak i z nami, Szlązokami. Tak samo!... Rąbaliśmy se ten chodnik i rąbali, ażechmy go wyrąbali!...

— —

...Drogą od Koprzywnic, w złocistych tumanach pyłu, w glorii słońca i ludzkiego miłowania szło polskie wojsko.

Zerwały się ogromne krzyki, wołania, wyleciały pod niebo, pijane radością, do stóp żołnierzy przypadały, ich serca w dłonie brały... Ludzie garnęli się do pierwszych szeregów... Niektórzy płakali... A żołnierze szli. Spaleni na brąz, zakurzeni, twardym krokiem wybijający dzwoniący rytm, w hełmach, z karabinami na ramionach. Przed nimi na białym koniu oficer szablą wita krzyczące tłumy, salutuje, słońce raz wraz przecina, skry w oczy sypie. Za pierwszym oddziałem muzyka... Polski marsz krzesze ogień w sercach, za ramiona porywa, wynosi... Kłębi się muzyka mosiężnymi dźwiękami, niesie skróś dalekich pól, pod niebo wylata, jak złocisty ptak spada powrotnie na ludzkie serca, przemienia je, upija... A potem... Ułany!... Ułany!... Cudne, barwne ułany!... Migoce się nad głowami las proporczyków, wystukują kopyta polskie splątany a radosny rytm taneczny, migają szable i słoneczko kruszą na złote łupinki, śmieją się ułańskie oczy spod szerokich daszków rogatywek, płoną i dziewczęce serca na słodkie zapamiętanie kuszą.

– Mój Boże!... Polskie wojsko!... Nasze wojsko!... – płacze jakaś stara babinka.

– Niech żyje Polska!...

– Niech żyje polska armia!...

– Niech żyje Śląsk z Polską!...

– Cześć naszym żołnierzom!...

Sypią się kwiaty na ułanów, na konie, na migające szable... Wydzierają się dłonie, garną do nóg, do strzemion, żeby tylko koniuszkiem palców dotknąć, wyczuć, że to nie złuda, że to nie sen, że to żywi, prawdziwi przez sześćset lat oczekiwani żołnierze polscy!...

(Z zakończenia powieści Gustawa Morcinka p. t. „WYRĄBANY CHODNIK")

Witajcie Bracia zza Olzy!

Gdy brat ukochany opuszcza na długo dom, gdy nie wie, kiedy wróci i znowu ujrzy tych, których w smutku zostawił — wszyscy płaczą za nim, jakby go ostatni raz widzieli. Ale gdy brat ten wraca niespodzianie po długiej nieobecności — wtedy święto panuje w całym domostwie, radość przenika wszystkie serca, a w oczach błyszczą najszczersze łzy wzruszenia.

A jeśli tym bratem jest jedna część narodu — o ileż większa radość przejmuje wszystkich do głębi! Jakże ogromne szczęście przepełnia dusze milionów! I to szczęście zanosi dziękczynną modlitwę pod stopy Najwyższego i korzy się przed Jego sprawiedliwością.

„Śląsk Zaolziański nasz!"

Z jakąż radością i entuzjazmem wyrywają się nam te trzy słowa z głębi dusz i ulatują z warg jak ogień gorące. Jak pożar rozszerza się radość!...

„Witajcie, bracia zza Olzy!"

Wołają miliony ust, a miliony rąk wyciągają się serdecznie ku granicy, ku dawnej granicy.

„O bracia nasi! Chodźcie, niech was Matka wasza Polska utuli na swym sercu. Niech na czołach waszych, dumnych polskością, złoży wieniec wawrzynu za wierność waszą i męczeństwo! Uświęciliście się Golgotą waszych udręczeń i staliście się godni miana najlepszych synów swej Matki." —

Wołanie takie płynie z głębi serca każdego Polaka. Każdy czuje, jak drodzy stali się sercu temu odzyskani prawie cudem rodacy. A przecież oddzielała nas tylko płytka rzeka, tylko placówki straży granicznej czeskiej.

Zawsze zaś łączył nas wspólny język, wspólne pochodzenie, wspólna tradycja i nade wszystko wspólna, święta miłość Ojczyzny!

W imię tej miłości walczyliście bohatersko!

W jej imię otwieramy wam dziś bratnie ramiona i witamy was jak członków wielkiej rodziny.

„Witajcie, bracia zza Olzy, witajcie, rodacy!" — W tych słowach mieści się wszystko.

Cała łącząca się w łzach wspólnie wylanych radość, całe szczęście i cała miłość do Was!

Nad szczyty gór podajemy wam dłoń do bratniego uścisku.

My, młodzi, wychodzimy do Was z gorącym sercem, które bije jak wasze i jak wasze zdolne jest do poświęceń, do dalszej wspólnej już pracy dla Polski.

My i Wy to jedno. —

Jeden biały, królewski orzeł unosi się teraz nad rozszerzoną Polską. —

Osłania swymi skrzydłami nas i Was!

M. ZEHETGRUBERÓWNA



MARIA SZYBOWSKA, kl. III gimn.

Ojczyzno, Polsko!..

Ojczyzno, Polsko! Powstał dziś dzień
Triumfu Twego, radości Twej,
Gdy wśród promieni słonecznych lśnień
Śląsk do Macierzy powraca Swej!

Ojczyzno, Polsko! Raduj się, ciesz!
Ziemica śląska zroszona krwią
Wraca wśród śpiewu tysięcznych rzesz,
Na wieki złączyć się z Matką Swą.

Ojczyzno, Polsko! My, młodzież Twa,
Ślubujem Tobie dziś trzymać straż!
Na posterunku każdy z nas trwa,
By Śląsk na zawsze już został nasz!

Ojczyzno, Polsko! Ślubujem Ci:
Granic Twych wiernie i trwale strzec!
Ślubujem chwały Twej spełnić sny,
Lub w walce z wrogiem dla Ciebie lec!



Młodzież wobec wypadków historycznych

Któż może wątpić w doniosłość epoki, jaką przeżywa obecnie cały świat? Prądy i procesy historyczne, które nurtują w dzisiejszych społeczeństwach, prowadzą nas bezsprzecznie do nowej jakiejś przyszłości. Historyk będzie kiedyś z odległości czasu ciekawie badał naszą epokę i może dojdzie do zgoła nieoczekiwanych rezultatów.

Wśród tych wydarzeń obecnej chwili trudno sobie wyobrazić, ażeby Polska mocarstwowa nie odgrywała tu żadnej roli i nie wpływała na bieg historycznych wypadków tym bardziej, jeśli jej bezpośrednio dotyczą. I rzeczywiście... Sprawa Śląska Zaolzańskiego, wysunięta jedynie przez Polskę na forum międzynarodowe niezależnie od istniejących już komplikacji, może być tylko dowodem żywotniej siły narodu, może świadczyć o tym co społeczeństwo myśli, że ma cele wielkie i święte, które realizuje...

Śląsk Zaolzański powrócił do Polski – jeden wielki okrzyk radości wyrwał się z miliona piersi Polaków. Bo któż nie doznał w ten dzień takiego uczucia radości, jakiego doznaje się w najbardziej uroczyste chwile swego życia?

Prastara ziemia piastowska wraca do Macierzy — po 20 letniej niewoli wraca znowu ziemia rdzennie, polska, wraca do nas, aby się połączyć już na zawsze.

Nie jest tu miejsce odnawiać rany i rzeczą zby-

teczną argumentować przynależność tego skrawka rdzennie polskiego do Macierzy.

Dosyć wspomnieć, że w tej chwili, gdyśmy zmartwychwstali do nowego życia politycznego, nasi bracia — Słowianie, ulegając popędowi polityki imperialistycznej, zadali nam cios z tyłu. Okres 20 lat był okresem prowokacji polityki czeskiej, opartej o destruktywną politykę Bolszewii — okres powojenny był okresem zerwania zupełnie stosunków przyjaznych z Czechami. Nic dziwnego, że sprawiało to ból całemu narodowi tym bardziej, że po drugiej stronie Olzy zostali Polacy z krwi i kości.

Sprawa Śląska była więc koniecznością narodu i wypłynęła zupełnie niezależnie od innych mocarstw...

Dzięki żołnierskiej postawie całego narodu wraca do nas Śląsk, bezprawnie zagarnięty 20 lat temu przez Czechów — wraca, aby połączyć się z Macierzą. Nic dziwnego, że jedna wielka radość ogarnęła Polskę.

Niemniej i młodzież, ta część narodu, która również potrafi poważnie myśleć o sprawach Ojczyzny, z głębi serca raduje się, bo ma ku temu powody.

Mimo zabiegów o pokojowe załatwienie sprawy, zdawało się, że nieuchronnie rozpęta się burza wojny, tym boleśniejsza, że między dwoma bratnimi narodami. Było to naprawdę bolesne, jeśliby jednak tego konieczność wymagała, cały naród stawał się jedną armią — i młodzież zawsze gotowa do poświęceń na ołtarzu Ojczyzny — gotowa była ująć w dłonie młode karabin i iść, i życie poświęcać, gdy tylko tego wymaga Polska. I może jeszcze więcej zapału tkwiło w tych młodych sercach, zapału nie chwilowego, lecz płynącego z duszy młodzieży i tak potężnego jak cała młodość...

Lecz któż nie pragnął ominąć grozy wojny? Któż nie rozumie, co znaczy wojna? Dziś, gdy wiek XX może się szczycić taką kulturą wysoką, wojna okazuje się najbardziej dziką formą rywalizacji międzynarodowej, która nie przynosi zaszczytu dzisiejszym narodom... Ale twardo mówimy, że imienia Polski nie pozwolimy postponować, jak to chciano uczynić. Za każdą kroplą krwi przelanej, polskiej, za każdą niesprawiedliwie wyrządzoną krzywdą jednemu Polakowi stoi cały naród i młodzież wielka i potężna.

Uniknęliśmy wojny i to może być tylko chlubnym dziełem. Bez rozlewu krwi wraca do nas wytęskniony po długiej rozłące Śląsk Zaolzański. Jedna wielka radość tchnęła, jak Polska długa i szeroka, z piersi Polaków, i słusznie!

Cieszymy się my, młodzież, że naród odniósł sukces i to sukces niebywały, tym większy, że dokonany drogą pokoju. Cieszymy się z głębi serca, że powraca prastara ziemia polska — cieszymy się, że w wolnej Polsce możemy witać wolnych Polaków. Lecz

---

JADWIGA SAJDAKÓWNA.

O Zjeździe górskim (da capo)

(historia wesoła - acz prawdziwa)

Tak mniej więcej na początku sierpnia (anno domini 1938) dziwne zaczęły dziać się rzeczy w cichym i łagodnym z zasady (i przekonania) mieście naszym. Mieszkańcy poniektórzy z oznakami najwyższego zdumienia patrzyli na gwałtowną i zgoła rewulucyjną przemianę starożytnej fizjognomii miasta — a ludzie bardziej romantyczni ze smętnym uśmiechem obserwowali niszczycielski pogrom i systematyczne burzenie przepięknych zabytków architektury (domków i stylowych szop łudząco podobnych do szałasów i stajenek górskich...) Niemniejszą też goryczą napawało wszystkich miłośników starej sztuki niestosowne zamalowywanie jaskrawą i nową farbą starych dziur, który to proceder pozbawił szlachetne mury całej, szanownej patyny starości. Ha — mało tego jeszcze, pozdzierano z domostw i płotów przepiękne — a tak dekoracyjne afisze i nekrologi — a płoty same, o zgrozo! — pomalowano na kolor zielony... Ludzie niektórzy, o duszach ponurych, a złośliwych, uśmiechali się domyślnie patrząc na to i szeptali sobie po cichu — ot tak „na ucho”, że to pewnie tak dla harmonii pomalowano — do koloru głów...

Znaleźli się też ludzie o duszach nieczułych i mało wzniosłych, którzy nawet na widok tak odmłodzonego i wypiękniałego oblicza miasta zdobyli się li tylko na przyziemną i prozaiczną uwagę: „ha — panie, żeby tak częściej taki zjazd górski — toby, panie — porządek, tego — Nowy Sącz jak Warszawa, Londyn, panie...

Kiedy już Nowy Sącz był przystrojony jako się godzi (n. p. — liczne inwestycje: chorągiewki różnofarbne nad ulicami — no i tam inne jeszcze...), zjechała się mnogość wielka przybyszów rozmaitych — a wszystko tylko chciwym okiem szukało gór. Wielu przybyło uzbrojonych w srogie czekany i podkute buty, ponieważ jednak możliwość natychmiastowej wspinaczki upadła z powodu niejakiej odległości gór, poszli przemili turyści forsować ulicę Jagiellońską, czyniąc grzmiący hałas podkutymi butami. Wszyscy wszelako — tak turyści jak i nieturyści zgodzili się jednomyślnie na to, że góry jednak są — tylko ludność sądecka okazuje zdumiewająco mało patriotyzmu lokalnego, chodząc w wysoce niestosownych miejskich szatach miast w białych portkach i serdakach...

Nastrój był bardzo wesoły i regionalny — do późnej bowiem nocy rozlegał się jeszcze w ciszy znany refren „czysto góralskiej“ piosenki:



Fabryki na Śląsku Zaolziańskim

Wykonał W. Nodzyński lic. II. Gim. 379.

przede wszystkim cieszymy się, żeśmy uniknęli wojny z narodem bratnim uniknęliśmy tego, co było by przykre.

Czesi zrozumieli, że tylko harmonia i zgoda może utrwalić ich byt narodowo - polityczny, gdy wróg wspólny. — Najwyższy czas!

Należy się zbratać, podać ręce i uzbrojeni czekać w obronie naszych granic. Chcemy zgody z wszystkimi, ale w razie jakiejkolwiek napaści potrafimy stanąć twardo jak przystało Polakowi i iść na front, by bronić każdego skrawka ziemi.

My, młodzież zawsze wierna idei mocarstwowej Polski, pójdziemy do zwycięstwa, prowadzeni dzielną dłonią Marszałka Rydza-Śmigłego.

ST. TAKUSKI.

— Hej górale nie bijta się
— Ma góralka dwa warkocze podzielita się...

— — — — — — — — — — — —

Ale naprawdę — to się zaczął zjazd górski wtedy, gdy szumnie i buńczucznie — z wesołymi przyśpiewkami — a muzyką — w roztańczonej różnobarwną gamą kolorów gromadzie, zwalił do Sącza górski naród ze stron przerozmaitych.

Otworzyli szeroko oczy wszeleniejacy ceprowie — przybysze z nizin, a w głowach aże im się kręciło od tej tęczy białych i czerwonych portek — szafirowych i jak same wrzosy liliowych serdaków — od różowejłuny roześmianych serdecznie twarzy i jasności uśmiechów...

— Ale tego, jak oni tańczyli — to już chyba żadne pióro nie wypowie; boby chyba musiało puścić się w tan oszalały po białej kartce papieru w wariackim opętanym rytmie i gwałtownych zawijasach a podskokach!

Pokazali nam wieczór na Zamku górale, jak to oni umieją się szumnie i szeroko bawić — jak tańczą bez upamiętania!

Nudni ględologowie - „teorytycy Zjazdu" twierdzili wprawdzie — że Zjazd Górski to przede wszystkim „wymiana, panie, kultury — ewenement o wybitnym kulturalno-społeczno-gospodarczym znaczeniu" etc. etc., ale ja myślę, że najważniejszym jest to — że lud pokazał nam swoją duszę i całą swą przebogatą kulturę regionalną...

Hej Boże — jak oni tańczyli! Aż dech w piersiach zatykało, jak się tak patrzało na ten szalony wir kolorów, blasków i ruchu, stopiony w żywiołowym wspaniałym tańcu. Zdumienie ogarnęło też wszystkich wytwornych ludzi miejskich na widok całego ceromoniału, który obowiązuje na wszelkich wsiowych zmówinach, weselach czy cepinach — (to wszystko u ludzi uważanych powszechnie za nieokrzesanych i prostaków).

Ale nie tylko sama wesołość panowała na wieczornych widowiskach regionalnych: niejednemu się i łza w oku zakręciła po usłyszeniu smętnych pieśni Polaków zza Olzy...

Pięknie było. A kiedy po paru dniach wracali do domów przybysze wszelacy — to już nie patrzyli ze złośliwym uśmiechem „przez szkiełko powiększające" na góry i nie mówili, że „z równym powodzeniem i racją można by urządzić święto morza na Kasprowym", ale zdjąwszy srogie, podkute buty, w cichości ducha wspominali roztęczoną, radosną gromadę górali, z którą połączyli się mocnym, serdecznym węzłem, tam na Zamku podczas wieczornych widowisk.

Z cyklu: Sylwety

POETA - OBYWATEL

(W-100 rocznicę urodzin A. Asnyka)

„Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę,
Niepamięć nie pogrzebie;
Lecz choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie".

Okres po powstaniu styczniowym przyniósł ze sobą wyjałowienie niwy poetyckiej; stan społeczeństwa był rozpaczliwy, nad Polską zawisło widmo wyrzeczenia się wolności. Ból patriotyczny, cierpienie, niepewność przyszłości nieustannie dręczyły Polaków. Na takim tle tym jaśniej zajaśniała twórczość Asnyka, tym bardziej odczuła jego wrażliwa dusza cierpienie całego narodu. Był to ból rozpaczliwy, bez granic, a przede wszystkim bez nadziei. W pierwszym okresie twórczości Asnyka nie było ani zapału, ani uczuć religijnych — rozpacz tylko wielka, nieodstępna towarzyszka, odbywa z nim podróż przez dzikie krainy *w Śnie grobów*.

Lecz nie był to zasadniczy ton poezji; z biegiem czasu zmienia się nastrój, społeczeństwo powraca do normalnego trybu, a poezja Asnyka nastraja się do życia ówczesnego. Lecz pozostało na zawsze w jego pieśniach to, co go czyni oryginalnym i innym, t. j. refleksja. Dzięki temu głębokiemu wczuciu się w istotę



ADAM ASNYK

Wykonał: M. Reguła
kl. II. Gimn. 369.

przemian i bolesnych starć, jakie dokonały się w tym okresie poezja Asnyka jest wiernym obrazem tego, co czuła dusza poety. Okres w którym wypadło tworzyć El...emu był okresem nowych procesów i przemian, a zwie się powszechnie pozytywizmem. Do walki z romantyzmem, z tradycją religijną, stanęło w imię nowych haseł młode pokolenie dumne i pewne zwycięstwa, tym bardziej, że starych haseł nikt nie bronił. Walka, jaka się toczyła między młodymi a starymi, znalazła żywe odbicie w duszy poety, który analizował nowe myśli. Wreszcie stanął twarzą w twarz wobec pozytywistów i spostrzegł u nich światło prawdy i zagrzmiał im ochoczo do walki... lecz z drugiej strony też spotkał u nich płytkość myśli, tyle dumy i zarozumialstwa! Asnyk stanął na rozdrożu. Jednak umiał pogodzić przeszłość z teraźniejszością, a wiersz najpiękniejszy z liryk „Do młodych" doskonale ilustruje głębie uczucia i duszy autora. Tu refleksja sięga najgłębiej, jest czystą poezją natchnienia..

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg...
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

— — — — — — — — — — — — — — —

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy winniście im cześć!

Autor wierzy wprawdzie, że każdy nowy prąd prowadzi nas do poznania prawdy, prowadzi ludzi do szczęścia, na wyżynę, ale wzywa rycerzy nowych pojęć do uszanowania ołtarzy ojców naszych. Poeta pragnie pogodzić wszystkich prawdziwą miłością.

Asnyk zastanawia się nad zagadkami bytu, nad tajemnicą wszechświata. Wynikiem tych rozważań był przepiękny cykl 30 sonetów refleksyjnych, w których zawarł autor esencję swych poglądów filozoficznych. Na dnie przepaści tajemnicy wszechbytu widzi człowieka zależnego od Boga, dążącego do celu wiecznego. W muzykalnych strofach rozwija autor motywy filozoficzne, z zasady trudne, a jednak takie proste i jasne w poezji Asnyka. W twórczym natchnieniu widzi poeta zmartwychwstanie Polski, ale to będzie Polska inna, w piękniejszej i zupełnie nowej postaci odrodzona; naród może zabić sam siebie, gdy popadnie w zupełne zwątpienie, inna siła nie może go obalić..

Asnyk doszedł do tych ideałów drogą nie tylko rozważań, refleksji, ale także drogą rezygnacji, drogą przytłumienia osobistych pragnień; ustała bolesna skarga, poeta chce dojść do pogodniejszych wyników.

...Bo nie dbam już więcej o losy swoje,
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą.

Poeta będzie tam żyć cudzą radością: i każe sercu pozdrowić wschodzący świat, pobłogosławić „nowym życia dniom" — zapomni już raz na zawsze o bólu, o nieszczęściu własnym.

Asnyk był lirykiem *par excellence,* dlatego jego fantazja i plastyka nie wzbiła się na takie szczyty, jak to obserwujemy u Mickiewicza, często refleksje stoją suche — nie brak jej jednak bezsprzecznie uczucia, a nawet bogactwa obrazów malarskich; szczególnie piękne są akwerelowe obrazki z Tatr. Lekkość i kunsztowność formy wiersza melodyjnego przy głębokim odczuciu pierwiastków muzycznych stawia Asnyka wśród poetów pierwszego rzędu.

Lecz mówiąc o Asnyku trudno nie wspomnieć o jego pracy społecznej. Asnyk był to obywatel, który umiał połączyć poezję z pracą dla Ojczyzny; zresztą tak zwykle bywa.

W okresie powstania należał do Rządu Narodowego. Był demokratą. Wierzył w Polskę i w lud. Sądził, że tylko lud może wywalczyć Polsce niepodległość.

Najważniejszym jego dziełem było „Towarzystwo Szkoły Ludowej" założone w Małopolsce. Na czele tego towarzystwa sam stanął i pracował do końca życia. Asnyk stał się w czynie uczestnikiem pracy codziennej, pozytywnej w przekonaniu tym, że pracuje dla własnego narodu...

Lecz powrócimy do jego liryki.

W zimowej nocy wędrowiec patrzy na ciszę, mróz, martwotę, ale w duszy marzy o wiośnie, która da kwiaty jeśli nie jemu, to innym ludziom. Myśli o wielkim zapale, który tkwi w sercach wielu i mówi:

Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mię będziesz,
Ty chłodna, milcząca rzeszo!

Asnyk przeczuł, że żyć będzie w sercach potomności. I rzeczywiście! Dziś po tylu latach wspominamy „bojownika prawdy" i jego poezja jakby odżyła w nas młodych, bo poezja Asnyka jest poezja młodzieżową.

ASNYK PIEWCĄ GÓR

(W 100-lecie urodzin Adama Asnyka)

Mgła jesienna okrywa granie wysokich Tatr, a kropelki jej, niby łzy osiadają na zimnych skałach...

My, mieszkańcy Podhala, ze szczególnym wzruszeniem wspominamy, że w roku tym obchodzimy setną rocznicę urodzin Adama Asnyka, wielkiego piewcy gór!

Jakże to dawno patrzył on na nasze góry i na nasze szczyty Tatr! Jak dawno wrażliwa jego dusza została porwana dziewiczym pięknem gór!

Bo wtedy jeszcze o cudzie Tatr i uroku gór było cicho w Polsce całej i głucho na całym świecie...

Asnyk to jeden z pierwszych, którego góry zachwyciły i pobudziły do twórczości.

Opisuje ich radosny urok wierszem płynącym wartko jak górskie potoki. Ich grozę i potęgę odtwarza z mistrzowskim wczuciem się w duszę natury i z takim zrozumieniem, jakie może mieć dla niej tylko poeta.

Na pamiątkę jego pobytu w Zakopanem powstał przepiękny cykl „W Tatrach" — odtwarzający z nieporównanym wdziękiem wciąż zmieniający się i tak bardzo urozmaicony krajobraz gór.

I chociaż sam poeta pisze: „O wielki poemacie natury! Któż może — iść w ślad za twych piękności natchnieniem wieczystym?" — nie potrafi powstrzymać się od uczczenia tego niezwykłego, królewskiego piękna.

Rankiem:

„Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną —
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną". —

Wieczorem zaś o letniej porze:

„W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór
Nocnymi mgłami dymią
Wdziewają płaszcze chmur". —

I w całym szeregu melodyjnych zwrotek zachwyca się urokiem budzenia się i usypiania górskiego dnia. Jakże znów inaczej wyglądają Tatry podczas burzy:

„Dołem wicher ciężkie chmury niesie
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po sczerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska.
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity. —

Czy to nie piękny w swej prostocie wiersz? Czy nie wzbiera w nas podziw dla człowieka, który chociaż nie urodził się wśród gór i wśród nich nie wychował, jednak tak doskonale oddał ich treść i piękno za jednym tylko pobytem?

Limbie samotnej nadaje nieledwie że duszę ludzką. Limbie, która wznosi się w niebo i kołysze w chmurach, a w dumie swej:

„Woli samotnie z błękitu
Upaść — strzaskana przez gromy" — niż róść na nizinach wśród pospolitszych drzew wypychających ją swą mnogością wciąż w górę.

Giewont zaś jest dla poety dobrym olbrzymem, który stoi na straży ludzi i przez wieki całe troszczy się o ich pokolenia u jego stóp żyjące.

Naprawdę piękny to cykl „W Tatrach" i aby dokładnie zrozumieć duszę Adama Asnyka, piewcy gór, powinniście koledzy i koleżanki przeczytać koniecznie ten niewielki zbiór wierszy. Z pewnością każdy się zachwyci i zrozumie wtedy, że ten tak wybitny i drogi całej Polsce poeta ma specjalną wartość dla tych, którzy tak jak my z górami są zżyci. Kochając góry pokochamy także tego, który umiał ich nieśmiertelne piękno zakląć w pełne miłości i zachwytu sławą.

M. Z. L. II. — 449.



Spisz – Ziemia odwiecznie polska

W chwili, gdy serce każdego Polaka wezbrane radością z powodu odzyskania Zaolzia, a pierś podnosi duma narodowa, płynąca z poczucia wewnętrznej mocy i spoistości narodowej, oczy wszystkich zwracają się ku południowej rubieży Rzeczypospolitej, u której progów czekają na wyzwolenie ziemie polskie i przez Polaków zamieszkałe — Spisz, Orawa i Czadeckie. Nie od rzeczy więc będzie w chwili tak aktualnej przypomnieć naszym Czytelniczkom i Czytelnikom dzieje i stan obecny ziemi nam najbliższej, związanej niegdyś licznymi węzłami z Sądeczyzną — ziemi spiskiej.

Od zarania istnienia państwa naszego, bo już od Bolesława Chrobrego Spisz należał do Polski. Z początkiem wieku XII południowa część Spisza z Lewoczą i Podgrodziem przechodzi do Węgier jako wiano córki Bol. Krzywoustego Judyty, wydanej za księcia Borysa, Po jego śmierci wiano miało wrócić do Polski; niestety to się nie stało, Co więcej, w roku 1312 oderwano od Polski resztę Spisza aż po Dunajec. Wraca Spisz do Polski w roku 1412 jako zastaw Zygmunta Luksemburskiego za pożyczkę udzieloną mu przez Władysława Jagiełłę — i pozostaje przy Rzeczypospolitej aż do roku 1769, w którym Maria Teresa, uprzedzając pierwszy rozbiór Polski, przyłącza Spisz a następnie i południową Sądeczyznę do Węgier. Brak miejsca nie pozwala na szczegółowe omówienie dziejów Spisza i Orawy w latach 1918 — 1920: dziejów radosnych, kiedy sądeckie oddziały wojska i „legii studenckiej" wkraczały do starych miast polskich: Lubowli, Podolińca, Kieżmarku — i smutnych, zakończonych przydzieleniem Polsce przez Radę Ambasadorów w r. 1920 zaledwie 13 wsi spiskich z 8500 mieszkańców, podczas gdy 37 gmin z 20.000 Polaków pozostało za kordonem granicznym.

Granica etnograficzna, choć przerwana na pół-

nocy pasem wiosek ...kowskich, da się jednak dokładnie wykreślić. Biegnie ona grzbietem Tatr od Rysów przez Polski Grzebień i Wierch Lodowy, po czym skręca ku wschodowi na grzbiet Spiskiej Magóry, oddzielając na północy polskie wsi: Jaworzynę, Żdziar, Lendak, (stąd pochodził Wojciech Halczyn, który z Borowym i ks. Machaym jeździł do Paryża i Wilsonowi przedstawiał sprawę spiską) Wyborną, Kryg, Słowiańską Wieś, Krzyżową Wieś, Jurskie i Mały Sławków. Prze-

a w okręgu pienińsko-kieżmarskim należy etnograficznie do Podhala. Cała kultura ludowa tej części Spisza: gwara strój, budownictwo, pieśni i zwyczaje — wiążą ściśle ten region ze wschodnim Podhalem (nowotarsko-sromowskim).

O polskości Spisza świadczą też liczne zabytki historyczne: ruiny, zabytki sztuki, kościoły wiejskie, kapliczki przydrożne, obrazy renesansowe i barokowe ratusze, zamki i kościoły w Kieżmarku, Podolińcu,



Mapa Spisza, Orawy i Czadeckiego.

Objaśnienia.
Pola zakreskowane oznaczają obszary zamieszkane przez bezwzględną większość polską; linia szeroka — obecną granicą Polski, linie cienkie Dunajec i Poprad.

Wykonał: M. Reguła II kl. 369

chodzi dalej granica etnograficzna aż pod miasteczko Podoliniec nad Popradem (stare sławne kolegium O. O. Pijarów, cenna biblioteka), przekracza Poprad pod Drużbakami Niżnymi (w Wyżnych — słynne kąpiele) i ciągnie się aż poza Lubowlę. Również cały prawie powiat starowiejski — nad Dunajcem w Pieninach — jest polski (Spiska Stara Wieś, Hanuszowce, Matiaszowce, Haligowce i t. d.). W ten sposób Spisz tworzy jakby dwa regiony: kieżmarsko — starowiejski, ciążący ku Podhalu, i lubowelski, ciążący wzdłuż doliny Popradu do Sącza.

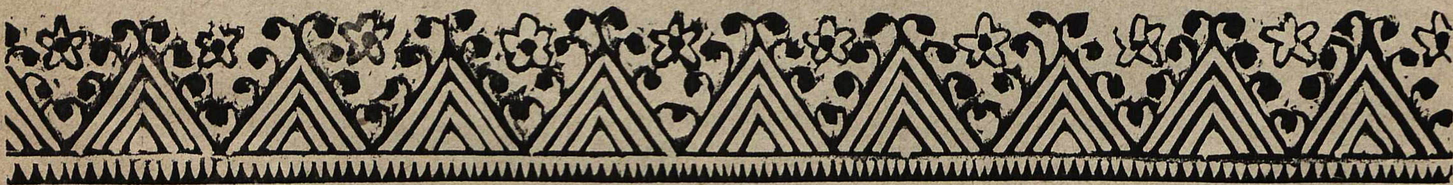
Ludność spiska bowiem w ciągu 368 lat zastawu zdołała zżyć się z Polską, utrzymywała z nią stosunki handlowe i kościelne. Ludność ta zresztą, złożona z dawnych osadników sądeckich, nowotarskich i żywieckich zbliża się na wschodzie do typu górali sądeckich,

Lubowli czy Lewoczy — tym „spiskim Krakowie..."

Przez półtora wieku niewoli ludność spiska nie wyparła się mowy ojców. Tłumnie ściągały też kompanie pielgrzymów na odpusty do Starego Sącza czy Kobylanki, a do ostatnich czasów mieszkańcy Mniszka chodzili w niedzielę do Piwnicznej — na polskie nabożeństwa!

Toteż i my, młodzi, musimy się zainteresować tymi naszymi najbliższymi braćmi, musimy poznać ich ziemię, ich kulturę i warunki zycia, a jeśli otworzą się dla nich gościnne wrota naszej Ojczyzny — musimy wyciągnąć do nich serdecznie braterską prawicę i powiedzieć im z serca tak, jak witamy Zaolzian: „Witajcie, bracia rodacy!"

S. (lic. 369.)



Wielki bojownik o polskość Orawy i Spisza

Pamięci Piotra Borowego słów kilka.

Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy...
J. KASPROWICZ.

Takim było życie Borowego... Szare, nędzne, proste, bez rozkoszy... Bo cóż, Polski nie było, nie było dla kogo żyć... Ale w sercu coś się burzy... W oparach mgieł i zawieruchy wojennej zaczyna świtać swoboda... Polska... Czyli już cel jest, jest o co walczyć. Haj! Rety! Słyszaneż to rzeczy: dyć nos od Polski fcom odedrzyć, nos, cośmy króla Kaźmirza bronieli, nasego oćca..." I w duszy, tej duszy, która dotąd tkwiła przy ziemicy, zduszona troską codzienną, budzi się coś, porywa, unosi i śpiewa niby halny wicher, upajając duszę tego chłopa i każąc mu działać, działać tak, by hyr szedł wszędy. Serce jego burzyło się na myśl, by ta stara ziemica miała do Polski nie należeć, boć to Spisz i Orawa — to dzieci jednej matki, matki Polski. I myśli przybierają zwolna kształt, kształt mocny i hardy kiejby te turnie... Czyn... I zaczyna Borowy pracować, walczyć, byle tylko dla Polski. Jeździ i mówi, zda się, że serce wygada — tyle uczucia w jego gadkach, a gadki to nie byle jakie, to gadki o Polsce, a sława jego rośnie i rośnie... Aż oto ten chłop urodzony w zapadłej wiosce pod Babią Górą porywa się na czyn ostateczny: jedzie wraz z księdzem Machayem i gazdą Halczynem ze Spisza do Paryża, do Wilsona, i przedstawia mu z żarliwością sobie właściwą sprawę Spisza i Orawy. I oto dzieje się coś nazwyczajnego: wielki polityk, wzruszony ogromem uczucia Borowego, przyrzeka mu spełnienie jego marzeń. Wraca Borowy do swych okolic i czeka, i tęskni, wygląda tej chwili, gdy „dzieci" powrócą do „matki". Ale nie danym mu było tej chwili doczekać. Tymczasem znów jeździ i mówi, porywa za sobą całe masy. nie pozwala, by myśl jego zginęła, wie, czuje i wierzy, że Spisz cały do Polski powróci, a z nim i Orawa.


Wykonał: M. Reguła II kl. 369

Nie doczekał się w pełni spełnienia swych marzeń: zaledwie cząstka Orawy i Spisza wróciła do Polski. Jego rodzinna wieś, w której ma swoje gazdostwo, Rabczyca, pozostała pod zaborem czeskim. Stęskniony za swą wyśnioną, wolną Polską, sprzedaje Borowy swą majętność w Rabczycy, a kupuje ładne gazdostwo w sąsiedniej, a polskiej już Lipnicy Wielkiej. I jeszcze czeka... Ale czuje też, że jest już u kresu swych sił, że przyjdzie mu odejść na wieczną wędrówkę. I oto ten starzec zrywa się jeszcze raz ostatni i snuje swą gadkę o tym, że świat dzisiejszy to taka maszkara, na której pełno wstążek, a wszystkie kończą się w żołądku. Każda wstążka nosi swą nazwę: jest tam miłość, przyjaźń, obowiązek i państwo, a wszystko to idzie do brzucha. Bo dziś takie som czasy, że syćko dobre, kiej do brzucha idzie. Nijakiego opamiętania ludziska nié majom, patrzom ino, by im było dobrze, a syćko inkse niek se ta idzie prec. I mówi dalej o tym, jak matce dzieci wydarto, a nie ma, bto by się o krzywdę upomniał, ale swym duchem żyjącym tylko dla Polski, wybiega naprzód i widzi, że oto kiedyś matka Polska odzyska swe dzieci: Spisz i Orawę. I z wizją tą w sercu umiera ten święty człowiek. Życie swe strawił, byle zaszczepić ziarno, które da plon obfity, umarł powtarzając za piewcą swej ziemicy:

Polsko! Ślubujem Tobie
Na pług i miecz,
Że pierwej legniem w grobie
Nim krok ustąpim wstecz!

A życie wlokło się dalej, szare, jednostajne i bez rozkoszy...

MARIAN GOMUŁKA (lic. h. 369)

Z BAJEK PIOTRA BOROWEGO

Przedruk z książki ks. F. Machaya „Gazda Piotr Borowy".

O ŚWIECY JAK DYSZEL.

(Wygłoszona w Krynicy).

Trzeba by wom opowiedzieć, jako się Polska do wiedna zbiyro. Pod zaborami modlyli się syćcy Polocy i Panu Bogu selico ślubowali. Ślubów było duzo i jo się lękom, cy się nie powtórzy to, co się stało z pewnym furmanem.

Jechoł sobie furmon, a mioł na wozie bardzo duzo. Chudy konicek ledwie ciągnół, bo było ciężko. I stało się niescęście: wjechoł głęboko do błota i ani rus, koń nie mógł wozu wyciągnąć. Kie się porządnie natropiół, na konia nakrzycoł, nabestiowoł, naprzeklinoł i bicyskiem nasmarowoł, zgniewany i wymęcony namyśłół się przez chwile i pedzioł:

— Panie Boze, dom Ci na ołtorz tako świyce, jak dysel u mojego wozu, jacy mi pomóc wyjechać z tego przeklętego błociska.

Usłysoł to jego chłopiec, który z nim jechoł i pomogoł mu jak mógł przy wyciąganiu wozu z błota.

— Tatusiu — odezwało się chłopcątko — dy przecie nima takiej świyce jak dyszel! Kaz wy tako świyce kupicie, i ka jo w kościele, na którym ółtorzu postawicie?

— Bedzies ty cicho, ty smarkocu, to ty ojca bedzies poprawioł?

— Dy jo wos tatusiu nie poprawiom, jo jacy padom, ze takiej świyce, jak dyszel nika nie robio, ani jej na ółtorzu nie postawicie.

— Cicho siedź, głupiś. Kieby jacy wyjechać, to potem se juz jakosik dom rady z tą świycom. Dy ta Pon Bóg na świyce nie chciwy, i On się ta zadowoli i ze świycą za parę grosi... Ej, kieby jacy ścęśliwie wyjechać i zajechać. Wijo siwy, wijo!...

No, jo nie myślym, zeby noród polski był takiej krótkiej myśli... Bo my z Orawy i ze Śpisa przeto się garniemy do Polski, bo wierzymy mocno, ze co Polacy obieceli, tego i dotrzymajo.

O SMOKACH.

(Wygłoszona w Krakowie, w sali Kopernika).

Mało świat o tym wie, jak do jednego domu wlazły trzy smoki i zrobiły sobie w nim swoje legowiska. — Miały ogromne ogóniska, które z wielkom biydom do domu powciongały. Mieszkańcy bardzo sie przestrasyli, kie sie o nowych lokatorach dowiedzieli. Po korytarzach, gdzie jako dziura, syndy ich było pełno. Gdzie sie kto rusół, zaroz na smoka nastompiół. A przeklęte brzydoki — te smocyska — gryzły i dokucały, i po sobie stompać nie dały. A tak wypodało! Bo ludzie przecies mieli zajencie na mieście, z domu wyjść musieli, a tu w kazdym koncicku smoki sie ozwalowały.

Co tu poconć? Było to nie do wytrzymanio. Byli niektórzy śmielsi i zacyni skokać i hipkać po brzydokach, ale swojo smiałoś zyciem przepłaciyli.

Mieśkańcy domu telo medytowali, jaze cosik wymedytowali. I wymyśliyli taki ratunek: po przez syćkie korytarze przeciongnyli nad smokami grube zyrdzie, których się trzymając, zdołali wychodzić z domu i wchodzić. Nie było to lekkie do zrobiynio, ale strach i biyda naucóła syćkich mieśkańców takiej sykowności, ze przelatywali po zyrdziach, jak nie przymierzając małpiątka.

A teroz słuchojcie, bo wom opowiem, do jakiego to domu wlazły te smocyska i co to som te zyrdzie? Dom to Polska, a smoki, to trzej zaborcy-złodzieje. Zyrdzie zaś — to odwaga i bohaterstwo Polaków. W kozdym prawie domie były te zyrdzie pozatykane. Odwaga i bohaterstwo sprawiły, ze smoki pozdychały, a kości polskie, które smocyska pozarły i po całym świecie ozsypały, zrosły się do wiedna. Orawa i Śpis to tez polskie kości, nie wolno ich zmarnować i nimi pomiatać. Polskie to kości — o tym świadcy mowa polska na Orawie i Śpisu, dowodzom tego nase nazwiska polskie. Człowiek, jak nie chce być kalekom, to musi mieć syćkie kości, tak tyz i Polska, jak chce być mocno i silno, niechze pozgarnio syćkie swoje ziemie, bo inacy bedzie kalekom.

JAK TO STRZYGA MLYKO POROBYŁA..

Przysła cyganka do gaździny i pado ji: mało mocie mlyka i masła, ktosik wom krowom porobiół. Ale jo wom wyjawiym, kto wom to zrobiół. Postąpcie tak: o północy róbcie w maśnicce, a pod maśnickę włózcie kosok. Ta baba, co wom porobiyła, hnet przyprzydzie pod okna.

Teroz cyganka posła do drugiej gaździny, i pado ji: pokozcie mi wase masło. Baba przyniesła masło, cyganka głową pokręciyła i orzekła, ze mlyko porobione. Trzeba by na to cosik poradzić. Wiym, co zrobicie, pado cyganka: o samiutkiej północy przejdziecie się po dziedzinie popod okna, a gdzie baba masło robi, to je strzyga, co wom porobiyła.

Cyganka kozała im to zrobić w nowy piątek. Mozecie sobie wyobrazić, co się stało. Jedna drugiej nawymyślały od strzyg, porwały się za włosy, wywlekły się na ulicę z krzykiem i wrzaskiem... Pobudziyły syćkich sąsiadów, którzy je z wielką biydą ozłącyli.

Cało dziedzina nazywo obie baby po dziś dzień — strzygami.

Tak to różni strzygowie kłócą ludy i narody.

Co piszą krytycy francuscy o Prof. Regule

Niedawno mieliśmy sposobność zapoznać naszych czytelników z artykłem z francuskiego pisma „La Revue Illustrée des Arts et de la Vie", omawiającym twórczość malarską dyr. Bolesława Barbackiego. Obecnie podajemy w dosłownym tłumaczeniu artykuł o twórczości prof. Romualda Reguły, jaki ukazał się w numerze 10. tego samego pisma francuskiego z dnia 15 VI 1938. Wszyscy cieszymy się, że talent P. Prof. Reguły doczekał się należnego uznania za granicą, a ogłaszamy uwagi francuskiego krytyka z tym większą radością, że P. Prof. Reguła jest opiekunem i kierownikiem artystycznym naszego pisma i od lat wielu tak niestrudzenie prowadzi nas stromymi ścieżkami sztuki ku pięknu!



Romuald Reguła Portret

Oto co pisze „La Revue Illustreé":

„Spośród współczesnych malarzy polskich jest to jeden z tych, których dzieła objawiają najbardziej wytrwały wysiłek w kierunku podniesienia materii z obiektywnej rzeczywistości na poziom piękna szlachetniejszego niż duch, za pomocą sztuki doskonalonej bez ustanku (wiecznie oczyszczanej).

Romuald Reguła z Nowego Sącza kształci się u Axentowicza, Wyczółkowskiego, Weissa w Krakowie, oraz w tym samym czasie uczęszcza na Uniwersytet Jagielloński — wydział filozof. (estetykę i historię sztuki). Rok 1925 zastaje go w Paryżu; w dwa lata później jest w Pradze, a potem Dreźnie i Wiedniu. W 1936 r. Zachęta w Warszawie wystawia jego dzieła. Odtąd jesteśmy świadkami jego prawdziwego rozwoju.

Talent Romualda Reguły, ów kwiat, rozwijający się z dawna, wypowiada się w dziełach takich wartości, że nie możemy więcej wątpić, że mamy przed sobą wielkiego malarza!

Salon w Poznaniu „Sztuka, wnętrza, kwiaty", Lwów, w końcu Warszawa — przedstawiają nam kolorystę o oszałamiającym wprost kręgu oddziaływania. Nie brak tam też i pewnej subtelności natury czysto słowiańskiej.

Ten malarz, chcąc stworzyć doskonałą harmonię portretu, łączy go z krajobrazem („Portret na tle zimy" „Na tarasie" i tak wspaniały obraz „Na leżakach"), któremu nadaje charakter romantyczny („Rzut oka na Nowy Sącz"). Ten malarz staje się wprost niematerialnym, uduchowionym, bezcielesnym.

Poszukiwanie kolorytu oraz jego subtelne przejścia są pokrewne temu, co nasza szkoła paryska stworzyła najlepszego, z niewyraźnymi reminiscencjami tu i ówdzie florentyńskimi.

Talent Romualda Reguły nadzwyczajny, potężnie kulturalny, znajduje upodobania w najdoskonalszych kombinacjach barw.

Nic nie jest u niego tak prostym, jakby się na pozór zdawało, ponieważ wszystko było przedmiotem usilnych poszukiwań i namiętnych dociekań.

Co jednak także należy podkreślić, to stałą niezależność, tego artysty. który potrafił uwolnić się od więzów klasycyzmu i przenieść się w wyższą dziedzinę nowoczesnej estetyki, nie wiążąc się jednak z żadną szkołą i nie tracąc z oczu celu wszystkich (dążeń swoich i wzlotów do czystego piękna)".

Podziękowanie.

Ustępujący Zarząd Szkolnego Klubu Sportowego „Beskid", składa serdeczne podziękowanie p. Tobiasowi J. i Hołystowi Fr. za bezinteresowną pomoc w organizowaniu imprez sportowych w ciągu ubiegłego roku szkolnego.

Za Zarząd:

M. Jeleniowski, b. sekretarz. — Ed. Pięta, b. prezes.



STANISŁAW TAKUSKI.

Jesteś jak jesień...

Jesteś jak jesień niezmiernie błękitna —
Pachnąca w ustach ostatnia matiola.
Ciągle cię widzę — jednak nieuchwytna
Błądzisz w mych oczach jak jesień po polach.

Wichrem jesiennym rozbijasz melodie.
Uśmiechem wichrzysz ostatni blask słońca
I coś mi szepczesz, i wtedy dobrze wiem,
Żeś jest bezkresna, szeroka, bez końca.

Kocham tę jesień, która wszystko śpiewa
I chociaż smutek, nucisz pieśń radosną —
Jesteś wesoła, choć wszystko cię gniewa —
Jedną znam jesień, nazywa się wiosną.

W. S. Gimn. żeńskie.

Wrzosowa jesień.

Tęsknica dni jesiennych jest rdzawa i liliowa
I mroczy duszę tak - jak wrzosów smutek cichy -
Szklanym podźwiękiem srebra drżą wrzosów [kielichy
Jak czyjeś dawno przebrzmiałe już słowa...

Pośpiewem bladej mgły płacze i szumi jesień
I splata wrzosów pęki w przedziwną smutną wstęgę.
Przecięte w siność góry śnią sny o potędze
I srebrną nić marzenia rozsnuwają w przestrzeń...

Rozsnute w omglawą tęskność srebrzyste pajęczyny
Omotem cichych marzeń przetykają zieleń.
Koralem się czerwieni kalin smutna jesień
Płacze zła czyjaś dola deszczowymi łzami......

H. BARBACKA

OSTATNI UŚMIECH

(Z Jesiennych Pejzaży)

I.

Słońce takie jasne, ciepłe, roześmiane... Złocą się ścierniska, zielenią łąki, mienią barwą ogrody. Wesoło patrzą przed siebie słoneczniki, drżą astry, szepczą coś róże... A tymczasem gdzieś w cieniu rozwijają już swe pąki chryzantemy — kwiaty umarłych.

Wiatr szumi, szaleje, śpiewa w gęstej olszynie, porywa wiotkie warkocze brzóz, igra z liśćmi lip, dębów, jesionów... Tylko czasem, gdzieś nad wodą, zapłacze cicho w giętkich ramionach wierzb...

A złociste słońce zaglądа wszędzie swym ostatnim uśmiechem. Dziś śmieje się radośnie, pełne życia — jutro już może go nie będzie... Przyjdą dni szare, okrutne, zimne.

Może już to jutro przyniesie śmierć... dla wątłych kwiatów, barwnych liści... Może już jutro...

II.

Jednym z tych swoich promieni przedarło się słońce przez kopuły starych wierzb nad wodą. Ześliznęło się po chropowatym pniu. Uśmiechnęło się...

A tam u stóp starego drzewa coś się wzbudziło do życia. Dopiero dzisiaj dotarło tu ciepło, przybyła wiosna. Spóźniła się...

Mały wątły jaskier nie wiedział o tym... Z uśmie-

chem rozwarł swe złote ramionka... Upoił go szepczący wicher. Porwała go tęskna piosenka szumiącej w oddali wody — i pełen szczęścia poddał się pieszczocie słońca. On nic nie wiedział... Nie domyślał się, że to przedśmiertne chwile... że słonko już wnet

Cienistą ścieżyną wśród starych drzew idą oni dwoje... nie mówią wiele...

Słońce z trudem przebija się przez sklepienie drzew i ostatnim swym smutnym spojrzeniem opromienia ich ścieżkę. Oni się uśmiechają...



Wykonał W. Nodzyński II lic. Gimn. 369.

mu nie zaświeci... że to jego ostatnie, wymuszone uśmiechy...

III.

Jakiś dziwny chłód wieje od powalonych, omszałych grobów, tonących w wysokiej trawie...

Ślepi! Nie widzą niczego! Nie słyszą, co mówią kamienie grobowe, o czym szemrzą liście te, po których depczą i te, które lecą z drzew... Nie rozumieją, co mówi konające słońce... Prawda, że ono świeci jeszcze tak jasno, że niebo takie lazurowe aż ciemne... Ale co szepczą liście?...

Zerwał się wiatr... rozrzucił je w koło grobowca. To jakiś duch się śmieje! — Naiwni! Tak jak te listki lip, brzóz czy jesionów... Wczoraj z wiatrem śpiewały na drzewach — dziś tułają się między grobami, a jutro, gdy słońce już umrze, zwiędną i one... I tylko wicher je będzie gnał z kałuży w kałużę, deszcz wgniatał w błoto... Marzyć będą o śmierci pod białym puchem... o tej, która była postrachem...

Oni nie słyszą, idą dalej... Słychać tylko szmer liści pod stopami...

IV.

A może to nieprawda! Życie jeszcze w pełni. Słońce się śmieje, ciepło, radośnie!

Żyć jeszcze długo chcą puszyste astry, barwne dalie, słoneczniki. — Żyć! — wołają drzewa, krzewy, trawy.

Brylantami rosy rozbłyskują co rano kolie babiego lata. Coś mówią... o końcu tych kolorowych, ciepłych dni.

Mówcie! My szalejemy z wichrem! Tańczmy! Śmiejmy się do słońca! Upijmy się życiem!

— Bo życie takie cudne! — odpowiada drobny żółty jaskier...

Żyjemy! Woda pieni się, płynie, burzy... Purpurą co wieczora zachodzi słońce... Po lasach, ścierniskach, w konarach starych wierzb nad wodą szaleje wicher. Porywa liście, jakieś rzucone kwiaty i gna... gna...

Jeszcze raz! Choć raz!

V.

A nocą, gdy na niebie między brylantami gwiazd króluje srebrzysty ojciec tęsknoty — księżyc, gdy pachną ostatnie róże i tylko czyjeś kroki mogą zbudzić drzemiące na ścieżkach liście — Świat zdaje się żyć w tej bajce... Bo to bajka! Krótka, błyskotliwa bajka!

Niejedne oczy błądząc po srebrze nocy, myślą, że wszystko jest prawdą, nie ma kłamstwa, brzydoty, fałszu... że szczęście trwa... że nie zwiędnie ta ostatnia róża, wrócą tamte dni... i że jutro znowu wzejdzie słońce, uśmiechnie się...

Może jutro jeszcze zaświeci, ale czy nie ostatni raz? Może już nie wróci, nie przedrze się przez zwały ołowianych chmur i bicze deszczu...

Dziś jeszcze śmieją się gwiazdy, kwiaty... ostatni raz... Bo nadchodzi już czas, by pożegnać już ciepło, uśmiechy, szczęście i odejść samotnie przez ten srebrzysty wieczór, ku szarugom, zawieruchom, ulewom...

Bo dziś niebo śmiało się ostatni raz...



Niestety spotykamy się jeszcze u młodzieży (mówiąc bardzo oględnie) z objawami niewychowania, braku taktu.

I to u młodzieży, która uczęszcza na doroczne tradycyjne tańce, gdzie nabyć ma ogłady, kultury towarzyskiej.

Oto dwa obrazki:

„Panowie angażują panie do tanga" — rozbrzmiewa donośny głos P. Witkaya. Chwila zamieszania i już wszyscy spacerują wokół sali, czekając z utęsknieniem na dźwięki orkiestry.

„Jeszcze jedna z pań nie zaangażowana. Orkiestra grać nie będzie. Ja mam czas" — stwierdza p. Witkay.

„Ja poczekam..." — Odpowiadają wszyscy smutnie.

Przechodzę obok niej, tej nie zaangażowanej. Widzę, że ma łzy w oczach, że z trudem panuje nad sobą.

Koledzy, lwy salonowe, wstawcie się w jej położenie!

Gentelmani! Nie dopuście do tego rodzaju sytuacji na przyszłość!

— — — — — — — — — — — —

„Dziękuję państwu. Następna lekcja odbędzie się we wtorek, panowie o piątej godzinie, panie o wpół do szóstej."

Wszyscy wysypują się z gmachu gimnazjum. Koledzy i koleżanki żywo rozmawiając skierowują się w stronę swych domów.

Z tyłu idą rodzice, opieka domowa, ludzie starsi. Nagle z ciemności wynurza się hałaśliwa grupa kolegów. Śmiejąc, zabawiają się podkładaniem nóg kolegom idącym w towarzystwie. I jak możemy potem czuć się pokrzywdzonymi, gdy starsi źle wyrażają się o zachowaniu dzisiejszej młodzieży?

Dałam słowo!

(Obrazek sceniczny w 4 odsłonach na tle życia harcerek)

OSOBY:

Hanka, drużynowa	3 ZASTĘPY:
Janka, zastępowa	Macierzanki
Marysia „	Rozchodniki
Wanda „	Firletki
Zośka, główna bohaterka	TOWARY TAŃCZĄCE:
Ceśka „Macierzanka”	Kierpiec
Ludka	Kożuch
Tosia „Firletka”	Miska
Hela	Dzban
Tina, zwana „Kleksem”	Czerpak
Jadźka „Rozchodnik”	Ciupaga
Jula	Sukno
Basia „Repeciarz”	Torba skórzana

Rzecz dzieje się na obozie w Chochołowie.
(Dekoracje: las, namiot. Zmian dekoracji nie ma).

Odsłona 1.

(Przed namiotem zebrane 3 zastępy harcerek w mundurkach. Stoją w szyku promienistym. Drużynowa w środku. Od niej rozchodzą się 3 promienie zastępów).

DRUŻYNOWA:
„Zioła“! Za parę dni kończy się nasze leśne bytowanie. Za parę dni wrócimy z obozu do domów i staniemy do nowej pracy. Jednak „Zioła“ zostawią po sobie trwałą pamięć wśród ludności Chochołowa, która nas tak gościnnie przyjęła. Kończymy dziś „tydzień pracy dla drugich“. Zakończeniem będzie jutrzejsza watra. Pamiętajcie, że chodzi o ognisko związane z rocznicą powstania chochołowskiego. Musicie program tak ułożyć, żeby się zaproszeni goście, gazdowie, gaździny i dzieci nie nudzili. W związku z tym daję wam do wykonania to ćwiczenie. (Rozdaje kartki zastępowym). Zastępowe wyznaczą warty przy namiocie, a po godzinie zejdziemy się znów w tym miejscu. Zioła! (Postawa baczna). Rozejść się! (Odchodzi). (3 zastępy skupiają się koło swych zastępowych, wskutek czego powstają na scenie trzy grupy).

GRUPA I: Macierzanki.

CEŚKA:
Uf! Nie mogę! (zagląda przez ramię zastępowej do kartki).

LUDKA:
Umieram! Do jutra? jakim sposobem?!

GRUPA II: Rozchodniki.

JADŹKA:
O Rany Boskie! a cóż my wymyślimy do jutra?!

JANKA:
Dobrze „Macierzankom”, jak mają Zośkę, ale my?!

GRUPA III: Firletki.
(czytają przez chwilę w milczeniu)

TOSIA:
Co robić? Chodźmy prędko do naszych gazdów. Oni nam doradzą.

MARYSIA:
Idziemy. Firletki za mną! Na warcie zostanie Hela. (Wychodzą).

GRUPA II.

JANKA:
Na warcie zostanie...

TINA-KLEKS:
Janko! Ja zostanę na warcie! Dobrze?

JANKA:
No, zostań. Rozchodniki, biegiem za mną! (wybiegają).

GRUPA I: Macierzanki.

WANDA:
Tamte poszły... Możemy tu radzić. Zośka, mów prędko, co zrobimy? (Chwila milczenia).

ZOŚKA: (uderza się w czoło)
Mam myśl. Słuchajcie, zrobimy „żywą wystawę“ towarów podhalańskich. Powiemy naszym gazdom i gaździnom, że będziemy ich wyroby zachwalać tak przed ludźmi w mieście. A to się ucieszy nasz Pitoń, jak zobaczy swoje kierpce tańczące, albo...

WANDA:
Nie rozumiem! jak to chcesz zrobić?

JULA: (uradowana)
Ale ja już wiem! Po prostu my się poprzebieramy za towary podhalańskie i będziemy tańczyły przy ognisku. To pyszna myśl!

WANDA:
Rzeczywiście! Hip, hip! Zośka! (uderza ją po ramieniu). Ale musisz napisać słowa dla każdego towaru.

ZOŚKA:
Musi być kierpiec...

WANDA:
Ciupaga, czerpak...

LUDKA:
A jeszcze z wyrobów skórzanych kożuch...

JULA:
A z ceramiki dzbanek, miska...

CEŚKA:
A portki góralskie z czego? zapomniałyście o suknie.

LUDKA:
I torba skórzana!

JULA:
Zośka! Morowo! idziemy ci zdobyć towary!

WANDA:
A ty zostań na warcie i pisz słowa.

BASIA: (chwyta zastępową za rękaw)
Ale właściwie o co chodzi? Wytłumaczcie mi!

WANDA: (dalej do Zośki)
Masz tu papier, ołówek — już siadaj przy namiocie, że niby to warta. Pisz! Macierzanki! za mną. (Wychodzą)

BASIA: (drepcze na końcu)
Taka jestem głodna! Ani repetki dziś na obiad nie było, a do podwieczorku jeszcze godzina! (wychodzi)

Zośka: (siada przed namiotem i bierze się do pisania).

KLEKS-TINA: (wsuwa się na scenę)
No, poszły sobie wreszcie. I tak wszystko słyszałam, bo darłyście się jak sroki...

ZOŚKA: (pisząc)
Aha!...

KLEKS:
Ojej, widzę, że poetyckie natchnienie dopisuje! (zagląda przez ramię) Wiersze... pi... pi... pi!

ZOŚKA: (zniecierpliwiona)
Słuchaj, Kleks, odczep się ode mnie! Masz stać przy waszym namiocie na warcie. Jeszcze ci złodziej co z twojej biżuterii ściągnie! (Usiłuje pisać dalej).

KLEKS:
Phi! Mój papa jest tak bogaty, że może mi znowu co nowego sprawić. (siada koło Zośki). Powiem ci, moja kochana, że właściwie czuję się tu wciąż obco na tym obozie. Z tobą to jeszcze jako tako da się mówić, bo jesteś z dobrego domu, ale reszta! Moja mama zapłakałaby się, gdyby mnie widziała w towarzystwie córki praczki, jak Jula, albo córki prostego robotnika jak Ludka. I z takimi dziewczętami ja mam przestawać?

ZOŚKA:
Przestałabyś już raz wyjeżdzać z tymi arystokracjami! Nie podoba ci się, to wyjedź z obozu i już!

KLEKS: (bawiąc się pierścionkiem)
Dawno bym uciekła, ale mój papa każe mi należeć do tej drużyny. Powiada, że ja muszę się hartować i uspołeczniać! (Z przesadą). U-spo-łecz-niać w takiej bandzie! Te dziewczęta są takie nie wychowane. Na przykład Jula...

ZOŚKA:
Już to wszystko słyszałam tysiąc razy! Kleksiu najdroższy! Zechciej mnie uszczęśliwić i idź do waszego namiotu!

KLEKS:
Przede wszystkim nie lubię przezwisk. Skończcie już raz z tym „kleksem"! Jestem Tina. I tylko tak mnie proszę nazywać.

ZOŚKA:
No, więc Tino, Tineczko, Tinuchno, wynoś się, pókim dobra! (wypycha ją).

KLEKS:
Oh, i ty już przesiąkłaś tym ich „dobrym" wychowaniem... Ślicznie się wyrażasz... fi! Córka lekarza! (znika za sceną).

ZOŚKA:
Uf! Nareszcie! (bierze się do pisania)

KLEKS: (Wraca. Na jej widok Zośka opuszcza ręce)
Bo powiedz mi, moja kochana, skąd wy możecie być lepsze, kiedy i ta cała nasza drużynowa czcigodna nie jest inna. Uważam ją za wariatkę...

ZOŚKA: (oburzona)
No, proszę? Cóż ty od niej znowu chcesz?

KLEKS:
A co! Jak się zaperzyłaś! Wiem, że ty ją adorujesz... ha! ha! Towarzystwo wzajemnej adoracji!

ZOŚKA: (z gniewem)
Nikogo nie adoruję, bo już dawno z lat cielęcych wyrosłam. Ale do druhny Hanki inaczej jak z szacunkiem odnosić się nie można!

KLEKS: (ironicznie)
Oh, naprawdę? W życiu prywatnym — może tak. Ale na obozie, to każdy przyzna, że ona ma „fioła" (robi kółko na czole).

ZOŚKA: (ze złością)
Kleks, czyś ty oszalał?

KLEKS:
Ot, na przykład dziś. Jutro mamy urządzać ognisko dla takiego gminu, a ta wariatka zamiast kazać kupić po prostu kiełbasy dla chamów, każe się nam wygłupiać z jakimiś pokazami regionalnymi! Każe nam zbierać „kulturę ludową" i pędza nas po jakichś ćwiczeniach! Ręczę ci, że kiełbasa lepsze wspomnienie by zostawiła, niż wasze tańce i śpiewy.

ZOŚKA:
Ależ tu chodzi o naszą pracę! Rozumiesz? O naszą pracę! Mamy coś dawać z siebie, czy ty tego nigdy nie zrozumiesz?!

KLEKS:
Ależ nie unoś się tak, poetyczna istoto! Złość piękności szkodzi! (słychać kroki) Oho, idzie tu ten twój ideał... Zwiewam. (wysuwa się chyłkiem).

DRUŻYNOWA: (wchodzi)
Czy przyjmiecie mnie „Macierzanki" do waszego namiotu na czas pisania listu? Taki wiatr, że w sekretariacie papiery fruwają.

ZOŚKA: (z uśmiechem)
Bardzo prosimy! (uchyla płótna namiotu).

DRUŻYNOWA: (stając w wejściu namiotu)
Wiesz, Zosiu, że przy ostatnim ognisku, na zakończenie obozu, składać będziecie przyrzeczenie. Oczywiście chciałabym, aby wszystkie „Macierzanki" zostały już naprawdę harcerkami!

ZOŚKA: (gorąco)
Druhno! Nie mam odwagi mówić o tym, ale nikt nie wie, jak bardzo, bardzo strasznie, chcę już być prawdziwą harcerką! Nieraz, kiedy stoję na warcie w nocy, a gwiazdy zaczynają z nieba padać, wyciągam do nich ręce i mówię: żebym złożyła w tym roku przyrzeczenie, żebym już była godna złożyć przyrzeczenie! Mówią, że musi się spełnić życzenie powiedziane spadającym gwiazdom.

DRUŻYNOWA: (z uśmiechem)
Oj, ty niepoprawny marzycielu! Za dużo egzaltacji, Zośka, za dużo egzaltacji. (Zośka spuszcza głowę).

No, ale z tego się wyleczysz jeszcze! A tym razem jestem pewna, że twoje życzenie wnet się spełni. (wchodzi do namiotu z piórem i listem).

ZOŚKA: (siada z westchnieniem)

Boże, gdybym już była godna złożyć przyrzeczenie! (pisze) (chwila ciszy)

HELA: (wpada)

Druhno Hanko! Druhno Hanko!

DRUŻYNOWA: (wybiega z namiotu)

Co się stało?

HELA:

Przysłali ze wsi, że grubej Marynie znów krew się z nosa puściła. Strasznie! Nie mogą zatamować. Proszą, żeby prędko, a...

DRUŻYNOWA: (przerywa)

Już idę. Gdzie apteczka? Krople żelazne są? (wychodzą)

ZOŚKA: (porywa apteczkę z namiotu, biegnie za nimi)

Tu jest, proszę! (wraca na scenę i siada przed namiotem). (wchodzi Kleks)

ZOŚKA:

O rety! Znowu...

KLEKS:

Znaj moje dobre serce. Widzę, że ci wciąż przeszkadzają pisać i przychodzę ci pomóc. Ja tu posiedzę, a ty siądź przy naszym namiocie, tam będziesz mogła pisać. Wasz namiot jest największy, tak jakby świetlica całego obozu, więc wciąż się tu ktoś kręci, a tam będziesz miała spokój.

ZOŚKA:

Przede wszystkim od ciebie! No, ale niech i tak będzie. (wychodzi)

KLEKS: stoi chwilę i rozgląda się — idzie na palcach do namiotu. Za chwilę wychodzi trzymając list drużynowej — czyta)

„...że jutro o godz. 2 w nocy zrobimy alarm"... A co! Czy nie wariatka? Dziewczęta wymęczone jeszcze po nocy wzlekać z pryczy! To można się przecie rozchorować śmiertelnie! (czyta) „...i wyjdziemy po druhnę na stację. Oho! To i komenda z Krakowa tu przyjeżdża! Ładny kwiat! Trzeba się położyć spać w ubraniu i plecak uporządkować, potem znów będą te gęsi gadały, że Kleks nieporządny, że Kleks zaspany... Czekajcie! Kleks będzie pierwszy, ja wam pokażę! A teraz trzeba położyć list z powrotem... niech się nikt niczego nie domyśli... (wchodzi do namiotu)

ZOŚKA: (wpada z impetem)

Mam już! Skończone! Hallo, Kleks! (rozgląda się) (Uchyla namiot) Kleks! Co ty? (Staje przerażona).

KLEKS: (z namiotu)

Czego się drzesz? (wychodzi) Chciałam się trochę przespać. Wielka rzecz!

ZOŚKA: (chwyta ją za ramiona)

Nieprawda! Co robiłaś przy stoliku? Widziałam dobrze! Miałaś w ręce list druhny Hanki! (odtrąca ją) Wstyd! Cudzy list czytać! Hańba!

KLEKS: (z przerażeniem)

Cicho! Zosieńko! Nie mów... ja ci wszystko powiem... Posłuchaj! Jutro alarm. Przyjeżdża komendantka chorągwi w nocy z Krakowa. My dwie, tylko wiemy... połóżmy się spać w ubraniu, będziemy pierwsze na linii zbiórki!

ZOŚKA: (z oburzeniem)

Co ty! Ty mnie... Za kogo ty mnie masz?!

KLEKS:

No, przecież druhna Hanka pochwali cię, jak będziesz pierwsza; to jest my obie, bo ja też w ubraniu się położę. Zobaczysz: w ciągu pół minuty... tylko nie mów nikomu!

ZOŚKA:

A gdzie honor harcerski? Co ty wyrabiasz, Kleks! Gdzie honor?! To byłoby proste oszustwo! I tak dość wstydu, żeś cudzy list przeczytała! I jeszcze mnie w to chcesz wciągnąć?!

KLEKS: (niepewnie)

Ja tak... z dobrego serca... chciałam was ostrzec...

ZOŚKA:

Nieprawda! O Boże! Co ja mam teraz zrobić? Muszę powiedzieć druhnie Hance!

KLEKS: (z wściekłością)

Naturalnie! Bądź skarżypytą! Ty lizusie!

ZOŚKA: (z godnością)

Twoje przezwiska nie mogą mi ubliżyć, bo sama czujesz, że ja mam rację!

KLEKS: (z przerażeniem zmieniając ton)

Zochna! Zosinka! Boże! Błagam cię, nie mów nikomu! Papa będzie pytał o moje zachowanie, Hanka mu powie na pewno! On się dowie, że ja mu wstyd przyniosłam!... (wybucha płaczem) Ja tego nie przeżyję! Papa mnie będzie bił! Rozumiesz... Będzie mnie bił!... że taki wstyd... O Boże, Boże! (pada na kolana przed Zośką) Najdroższa! Jedyna! Nic nie mów nikomu! Nie mów! Przysięgam ci, że ja zapomnę o treści tego listu! Nie położę się ubrana spać!... Nie powiesz nikomu? Nie powiesz?!

ZOŚKA: (podnosi ją zmieszana)

Ależ Tina... co ty wyrabiasz?...

(słychać głosy dziewcząt za sceną)

KLEKS: (przerażony)

Zośka! Na miłość Boską! One już idą... błagam cię... nie powiesz nikomu?! Od ciebie mój honor zależy! moje życie!...

ZOŚKA: (prędko)

Daję ci słowo, że nie powiem nikomu! (Kleks rzuca się jej na szyję, potem ucieka prędko).

(wpadają „Macierzanki" z towarami)

WANDA:

Zośka! Zośka! Są towary! M-o-ro-w-o!

(Zośka stoi z wypiekami na twarzy, zmieszana)

(zasłona)

Odsłona 2.

(Na drugi dzień)

(Dekoracje jak poprzednio. Odbywa się próba ogniska regionalnego. Wszystkie harcerki zebrane w kręgu przed namiotem. Jedne druhny siedzą, inne stoją, inne ustawiają się. Ruch).

WANDA:

Druhny! Prędko! Musimy zrobić teraz jeszcze próbę całości. Rozchodniki! Co ostatecznie dajecie?

JANKA:

My śpiewamy na końcu. Mamy pyszne piosenki zebrane z Kościelisk.

JADŹKA: (wyciąga z kieszeni karteczkę, śpiewa)

Posłuchaj:

Posła jo se, posła,
Za takiego osła,
Hej! Co mnie kijem bije,
Cobyk lepij rosła!

DRUHNY: (otaczające)

Ha! Ha! Ha! Byczo!

JADŹKA:

Albo to:

Kukułecka kuka
We mnie serce puka
Takiego mom chłopoka
Co majątku suka!
Jo majątku ni mom
I nie będę miała
Hej! Spytaj się mnie, durniu,
Cy cie bede chciała!

JANKA:

E! To inne ładniejsze! (śpiewa)

Panocki, panocki,
Bądźcie se pankami!
Hej, ale nie będziecie
Rządzić górolami!

WANDA:

To dobre.

BASIA:

Ale moje najlepsze: (śpiewa)

Wolołbyk jo woloł,
Zeby mnie brzuk boloł,
Bobyk nic nie robieł,
Jeno byk sie toloł!

DRUHNY: (otaczające)

Ha! Ha! Ha!

MARYSIA:

O tak, dla Basi to najlepsze! Ty „garowniku"!

BASIA:

A na pewno! Nie mogę się już doczekać, kiedy będzie cisza po obiedzie.

MARYSIA:

A Basieczka ułoży się na kocu, aby schrupać przysłane z domu czekoladki!

WANDA:

Do 100 patyków! Zioła! Bądźcie już raz cicho! Przecież ja mam ustalić program ogniska (wyciąga notes, zapisuje). Więc najpierw zaczną „Rozchodniki" śpiewem melodii góralskich.

JANKA:

A gazdowie i gaździny obiecali śpiewać z nami.

WANDA: (zapisuje dalej)

Potem Firletki...

MARYSIA:

Tu wystąpi nasz Lelewel, nadobna Antonina...

TOSIA:

Dajcie spokój...

MARYSIA: (ciągnie dalej)

...i powie nam całą historię powstania chochołowskiego, jak to ks. Kmietowicz i Chochołowianie w roku 1846 ocalili honor ludu polskiego i tak dalej, i tak dalej...

WANDA:

I tu możecie przeczytać wyjątek z tej powieści druha Pawłowskiego p. t. „Chochołowscy".

MARYSIA:

Znam, znam to. Cała trylogia: „We mgle świtu", „Burza nadciąga", „Kurniawa".

JADŹKA:

Ależ mam to nawet tu w bibliotece, bo jak się tylko dowiedziałam, że obóz będzie w Chochołowie, zaraz pożyczyłam ze szkoły.

WANDA: (zapisuje)

...a więc punkt drugi: Firletki, przemówienie o powstaniu chochołowskim i odczytanie wyjątków z powieści. A teraz trzeci punkt my...

JANKA:

No, Macierzanki na pewno się wysadziły!

TOSIA:

Cóż dziwnego, mają przecie Zośkę!

WANDA:

Więc my robimy „żywą wystawę towarów podhalańskich"!

DRUHNY: (otaczające)

Aaaaaa! (porcja zadowolenia)

WANDA:

Konferansjerkę przy całym ognisku obejmuje Zośka!

DRUHNY:

Aaaaa! (porcja zadowolenia)

ZOŚKA:

Zawsze mi się każecie wygłupiać.

MARYSIA:

Moja droga, kogo Pan Bóg obdarzył obrotnym językiem, to choć tą częścią ciała niech służy ludzkości.

WANDA:

No, no, posunąć się! (robi miejsce dla „towarów"). Próba tańca „żywych towarów", zaczynamy. Zośka, sprowadź swoje „towary" i poddawaj słowa. Raz, dwa, trzy.

(Zaczyna się próba tańca „towarów podhalańskich").

KIERPIEC: (tańcząc śpiewa)
Hej, kierpiec ci jo kierpiec,
Hej, aze z Chochołowa!
A mom ci pełno braci
Z Kościelisk i z Witowa!
Doliny i hole
Caluśkie Podhole
Znają kierpca!
Hen, pod Liptowskie Mury
Niosła mnie nózka rąca,
Hej, schodziłek jo góry
Od Tater jaz do Sąca!
Doliny i hole
Caluśkie Podhole
Znają kierpca!
(Z ukłonem wraca na miejsce)

MISKA: (wysuwa się, tańcząc śpiewa).
A jo jezdem miska,
Piknie polewano
Jedzom ze mnie grule } bis
Wiecorem i rano. }
A kiej se pojedzom,
Kiej sobie popijom
Wte Marysi rącki } bis
Cisto mnie umyjom }
(wraca na miejsce)

KOŻUCH: (tańczy i śpiewa)
Dobry jo kozusek
Z cornego barana
Skóra na mnie mocna } bis
Piknie wysywana! }
A kto se mnie wdzieje,
Wiatr go nie przewieje,
Kiej se mnie kupicie } bis
Mróz zakatrupicie! }

TOREBKA:
Kiebyk miała telo grosa, co nas baca,
Nie chowałabyk do trzosa
Ani złotyk, ani grosa
Huha, huha!
Kiebyk miała telo grosa, co nas baca,
Miałabyk torbę skórzaną
Kółeckami nabijaną
Huha, huha!
Kiebyk miała telo grosa, co nas baca,
Tobyk do Scawnice posła
Pikne torby wom prziniosła
Haha, haha!

SUKNO: (tańczy i śpiewa)
Sukno jo se, sukno białe,
Sukno jo se, sukno białe,
Zwą mnie ludzie samodziałem
Zwą mnie ludzie samodziałem.
Białe owce się posały] bis
Białą wełnę na mnie dały] bis
A kiej mnie tak (pokazuje) zesyjecie] bis
Fajne portki mieć bedziecie
Fajnie se potańcujecie!

CIUPAGA: (śpiewa, tańcząc)
Jestem jo se ostra
Ciupaga zbójnicka!
Hej, siekierka Janicka
Beła moja siostra!
Kiej mnią fto obyrtnie
Ino zafurgoce,
Hej, a kiej trzeba będzie
To i krew wytoce!
Dobrze ze mnom, dobrze,
Chodzić na gór scyty,
Hej, ciupazeckę ostrzić
O skalne granity!

DZBAN: (śpiewa, tańczy)
Zesło, słonko zesło,
I ranek juz, ranek.
Roboty wiele mom,
Bo jo jezdem dzbanek!
Ka pachnie zywica
Ka sumi krynica
Wody sie napiję
Az po samą syję!
Hej, dzbanek gliniany
Piknie poliwany
Łatwo mnie ukrusy,
Fto ciągnie za usy!
(wraca)

CZERPAK:
(Pantomina)
Szła dziewczyna ku górze, niosła dzban.
Stał płanetnik na chmurze, wody pan.
Dziewka dzbanek rozbiła, oczki łzami rosiła:
„Jakoż wodę czerpać mam?"
A płanetnik z obłoku dojrzał łezkę w jej oku:
„Nie płacz, ja ci czerpak dam!"
(Chór śpiewa)
„Dał jej czerpak cudny,
Z drzewa wycinany,
Hej, lepszy on, co lepszy,
Niźli dzban gliniany!
Ani go rozbijesz, ani go nie stłuczesz,
Hej, siądź se wedle wody, warkoczyki uczesz"!
(na zakończenie wspólny taniec towarów)

(D. c. n.)



Występ chóru gimnazjalnego „MELODIA"

W niedzielę dnia 25. IX. odbył się o godz. 5 po poł. w domu sodalicyjnym O. O. Jezuitów koncert gimnazjalnego zespołu „Melodia" z Mielca, pod kierunkiem p. prof. Lachmana, dzięki staraniom ks. prof. Czerwińskiego, który zajął się b. gorliwie zorganizowaniem całej tej imprezy. Zespół ten występował szereg razy w Polskim Radiu, a na ostatnim konkursie chórów szkolnych z całego kuratorium krakowskiego otrzymał pierwsze miejsce. Młodzież Nowego Sącza, tak żeńska, jak i męska przybyła tłumnie, aby podziwiać swych kolegów, których sława przyszła do nas wcześnej niż oni sami. Nie brakło też i starszej publiczności zachęconej występem tego chóru na Mszy świętej o 9 godz. w kaplicy szkolnej. Z wielką niecierpliwością i napięciem oczekiwała zgromadzona publiczność rozpoczęcia programu. Nareszcie kurtyna podniosła się w górę i po kilku słowach p. prof. Lachmana usłyszeliśmy artystycznie wykonaną pieśń „Gaude Mater". Program był b. obfity, zawierał bowiem dwadzieścia kilka pieśni. Najwięcej jednak podobały się: „Po nocnej rosie" — Moniuszki. „Pozdrowienie Tatr" — Noskowskiego. „Żaby" — Kotarbińskiego. „Piosenka żołnierska" — Galla. „Dziewczę z buzią jak malina" — Galla - Walewskiego. „Staroszlacheckie oświadczyny" — Galla oraz „Pastorałka góralska" — B. Rizzi'ego i na zakończenie porywająca pieśń „Na bój". Największy jednak sukces odniosła piosenka „Dziewczę z buzią jak malina" (solo tenorowe na tle chóru). Rozentuzjazmowana publiczność (szczególnie żeńska!) domagała się powtórzenia tego utworu, ale niestety nie spełniono jej życzeń. Maksimum efektu dała „Pastorałka", rzeczywiście b. artystycznie wykonana i trafiająca prostotą słów i naiwnością do serc słuchaczy, a nawet wywołująca salwy śmiechu.

Wszyscy wyszli zadowoleni i zachwyceni koncertem, nie było osób rozczarowanych. Zespół był doskonale „zgrany". Głosy dobre i tak doskonale zgrane, że w chórze nie wyróżniały się. Chór stał rzeczywiście na wysokim poziomie. Świadczy o tym doskonała orientacja chórzystów w dyskretnym podawaniu tonów ze strony dyrygenta, znakomita modulacja głosów oddająca świetnie nastrój piosenek w nasilniejszych miejscach, przechodząc do najcichszych „pianissino", do tego stopnia, że na sali zatrzymywano oddech w piersiach.

W ogóle na sali panowała atmosfera serdeczności, wywołana szczerym przemówieniem p. profesora Lachmana i ks. prałata Cierniaka, który w swej przemowie wyraził podziw i uznanie dla pracy p. prof. Lachmana i jego uczniów, dziękując imieniem młodzieży nowosądeckiej za występ. Nikt z zebranych nie żałował swego przybycia, bo odniósł dużo korzyści słuchając tak doskonałego chóru. Echem tego zachwytu były ze wszech stron lecące zapytania: „Czy jeszcze przyjadą?". „Kiedy będzie następny występ?".

MARIA SYMCZAKÓWNA, kl. I. lic. ped.

STANISŁAW TAKUSKI.

Wspomnienie morza.

Gdzie błękit zmięły w palcach zachwyty
kołyszą się lazury i ostatnie słońce.
Wśród fal leżę ukryty,
nic nie słyszę — i nic nie chcę —
bo taki jestem szczęśliwy.....

O bezkresy! – Szerokie bezkresy sinych łąk!
W dymie poszumów chcę zostać,
spić wargami oliwę stopionych słońc
i palcem mieszać kolory: jedwabne wstążki [fal
i tysiącem rąk
zatrzymać ziemię i błękitu stal.

Zostawcie mi duszę szeroką jak morze
i słońce to duże — a jasne jak niebo —
błękity rozlane – a w górze
gwiazdy trzepocące jak ptaki.

O jeziora! — Pytacie, kim jestem?
Łabędziem lubię się nurzać w szuwarach [wód
i w niebie gwiezdnym
szukać samego siebie: wspomnienia pieśni.–

Przekłuję nabrzmiałość fal!
Chcę ciszy gładkiej – mórz chcę spokojnych
i świat ci nowy chcę dać,
gdy nie masz nic...

M. GOLDFINGERÓWNA

Polski odkrywca Ameryki

(Nowela odznaczona II nagrodą na konkursie LMK. w maju 1938)

Było ciepłe, słoneczne popołudnie. Cicho było wokół. Jak spojrzeć, widać było szeroko monotonny, cichy i senny krajobraz Mazowsza. Wśród błot i piaskowych pagórków cicho płynęła rzeka Pisa, która łuszczyła się złotem, odbijając wesołe promienie południowego słońca.

Ciszę słonecznego południa przerwał tętent kopyt końskich. Zbliżał się jeździec na koniu. Nad brzegiem Pisy koń posłuszny swemu panu stanął, a jeździec zeskoczył zgrabnie.

Jeździec ów mógł mieć lat może czternaście. Bogaty strój i uprząż konia zwiastowały bogatego szlachcica. Nad wiek rozwinięty, silny, miał twarz zadumaną, okoloną bujnym włosem.

Przywiązawszy konia do zwieszającej nad rzeką warkocze brzozy zbliżył się ku wodzie.

Połyskliwa toń porwała jego oczy. Śliczne błyskotliwe fale przyciągały wzrok. Chłopak pochylił się nad wodą, śledząc strzelające w głębi swą łuską jak srebro, ryby.

Pochylony nad wodą, ujrzał swe odbicie. Chłopak był śliczny. Na lekko opalonej twarzy różowił się rumieniec. Zza rozchylonych ust ukazywały się zęby, błyszczące, białe i ostre. Oczy miał zadumane, błękitne. Kontrastowały z oczami brwi silne i ciemne. Nad brwiami wiatr rozwiewał równo ucięte, jak płynne złoto, włosy, które z tyłu opadały do pasa.

Nagle chłopiec wyrwał się z zadumy. Szybko wyciągnął z zanadrza kawał wydrążonej w kształcie łódki kory, na której boku widniał dość niezgrabny napis „Zorza". Następnie pośrodku na małym patyczku umieścił zgrabny żagielek. Chwilę pieścił łódeczkę, a później puścił ją z prądem.

— Płyń do morza i nieś mu pozdrowienia od syna. I pośród szumu wieczornego przypływu rzeknij morzu, iż Jan z Kolna myślą jest zawsze przy nim.

— — — — — — — — — — — —

Ryczą pienistym śmiechem bałwany. Wiatr świszcze i wyje potępieńczo wśród nadętych żagli galery.

Jak żbik skacze wśród szalonej kipieli „Zorza". Przez mokry, oślizgły dek przelała się rycząca fala. Prawy bok „Zorzy", sztymbork, pochyla się często pod szeleją.

W wzniesionym nad rufą kasztelu czerniała ogromna postać kapitana. Rozkazy z jego ust latały i krzyżowały się nad hukiem bałwanów jak pioruny.

Obóz P. W. w Starym Sączu

Przy piechocie fajno jest,
Dziarsko maszeruje się,
Lewa wolna, prawa wolna,
Środkiem szosy śmiało wal,
Kto nie służył przy piechocie,
[temu żal.

A więc jedziemy na obóz P. W. zbadani, opukani przez lekarzy szkolnych — zważeni i zmierzeni... słowem: otaksowani; zdaniem dra zdolni do służby w P. W.

Jedziemy...? Przepraszam, wyraziłem się nieściśle. Maszerujemy. Maszerujemy umundurowani, w pełnym rynsztunku, z tornistrami na plecach, maskami przewieszonymi przez ramiona, karabinami na barkach.

Chociaż zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, jakich korzyści zaczerpniemy z pobytu na obozie P.W. i ilu on nam wrażeń dostarczy, z pewnym żalem mijamy zabudowania Nowego Sącza.

W myśli żegnamy się na okres 3 tygodni z rodzinnym domem — ogarnia nas, o ile nie troska, to niepewność, jak będzie nasz pobyt na obozie wyglądał, jak tam się czuć będziemy.

Maszerujemy w milczeniu, każdy mimo woli wpatrzony w buty swego poprzednika.

Resztki werwy i humoru opuszczają nas, gdy pod koniec marszruty (dobrze, że chociaż pod koniec) ulewny deszcz spływa po nas, chcąc jakby złośliwie zaznaczyć, że nie uchronimy się przed nim, bo cóż to jest wojsko, które boi się deszczu.

Dochodzimy do obozów — odpoczywamy. Tu podzielono nas według wzrostu na 5 drużyn.

Następnie porządkujemy wyznaczone baraki (każda drużyna ma swój osobny „pawilon"), ścielimy „łóżka", oraz otrzymujemy kolację (wyrażenie nieścisłe, gdyż otrzymaliśmy tylko czarną kawę). Szczęście, że każdy miał coś jeszcze z domowych zapasów. Po modlitwie zasypiamy snem sprawiedliwych.

Dwa następne dni upływają nam pod znakiem czynienia porządków tak wewnątrz jak i na zewnątrz baraków.

Położenie ich, jak w ogóle położenie całego obozu, jest śliczne. Znajdujemy się nad Popradem — wokół padają promienie słońca. Czyste powietrze drzew szpilkowych napełnia nasze płuca orzeźwiającym zapachem.

Przed barakami powstają zwolna klomby — em-

Słysząc niepokojące trzeszczenie masztów i targanie żagli rzucił rozkaz z kolei: — Hej! Zwinąć żagle! Wszystkie! Powtórzyli ten rozkaz okrętnicy na maszcie. Zatrzeszczały maszty: bukszpryt, fok, grot i bezan, sam dowódca zeszedł do steru, odtrącając umęczonego do cna sternika i chwycił za gryf.

A wicher wył i wył. Załoga uwijała się po deku, zabezpieczając działa, zwijając liny i żagle. Nad świstem, wśród nieustającej burzy, nadleciała ogromna fala, zmywając trzech marynarzy z pokładu.

Lecz jakby śmierć tych trzech ludzi mogła przebłagać żywioł i ułagodzić gniew burzy, stawało się coraz ciszej. Wiatr jeszcze świstał, ale coraz ciszej. Na wschodniej stronie oceanu, tam gdzie ginęła we mgle daleka ojczyzna marynarzy, rozbłysła zorza. Z topielisk morza poniosło się słońce.

Patrzyli z zachwytem marynarze. Choć nieraz widzieli ten cud odradzającego się dnia, zawsze robił on na nich jednakowe wrażenie piękna.

Z zatopionymi w dal oczyma stał Jan z Kolna. Siwe, ogromne oczy patrzyły w dal nieprzeniknioną. Na opalonej twarzy miał odblask zorzy rannej. Równo ucięte włosy bujały pod szorstką pieszczotą wiatru. Myślał o spełnieniu snów dzieciństwa, o drodze przebytej i drodze czekającej go. Przed oczyma stoi mu jeszcze odjazd z rodzinnej Polski. Ma jeszcze w nozdrzach niezapomniany w żadnej godzinie życia zapach żywicy nadbrzeżnego boru. A potem sztormy na Bałtyku, postój w Kopenhadze, burzliwe Morze Północne, złote słońce na brzegach Francji, Kanał La Manche i spotkanie ze statkami angielskimi. Na to wspomnienie ściska się serce. Ma Anglia morze i Polska je ma. Lecz Anglia jest silna na morzu. Jan widział te statki, jak dumnie płynęły najeżone armatami. Widział, jak z dalekich Indii wracały pełne fig, bananów i wszelakiego dobra wspaniałe handlowce. I jak z niedowierzaniem patrzano na jego galerę silną, lecz skromną, dziwiąc się polskiej banderze, której nikt nigdy nie widywał na tych morzach... on tylko pierwszy, on, Jan z Kolna ośmielił się ujrzeć świat. Chce ujrzeć te cudne a nieznane lądy, o których nie prawi nawet wiestka kaszubska. Przed nim niebezpieczeństwa, wyprawy, opłynięcie Afryki, rozpalony wiatr pustyni Arabii, te Indie wymarzone i jeszcze nieznana dal, a za nim Polska i biała bryza znacząca szlak okrętu...

Jan z Kolna wyrwał się z zamyślenia, bo ujrzał na horyzoncie pędzący żaglowiec. Wstrząsnął głową dla odpędzenia coraz to gromadniej nadbiegających myśli. Zafalowały złotem śliczne do pasa sięgające włosy.

Teraz dopiero zauważył, że stoi na plichcie, oparty o reląg burty. Nie zauważył nawet, kiedy wstał od steru.

Statek, zazwyczaj bieżny, stał pogrążony w dryfie. Jan wydał rozkaz hysowania żagli. Z początku nie mogąc uchwycić posmycznego wiatru, żagle flądrowały leniwie, lecz wkrótce bosman, z pomocą załogi

---

blematy państwowe — wzory odznak pułkowych ułożonych z kamieni, szyszek i cegieł. Całość otoczona bielonymi wapnem kamieniami wygląda bardzo ładnie i cieszy nasze oczy.

Wewnątrz baraków również wre praca. Dowiadujemy się, że łóżka muszą być „wyprasowane“, zagłówki (trudno je nazwać poduszkami) muszą równać do prawego, a mundury należy układać w kostki, podczas gdy buty mają stać na baczność.

Każdy przedmiot ma tu swe wyznaczone miejsce, nie ma mowy o jakimś nieporządku.

Drużynie w baraku, w której panuje nieporządek, składa wizytę ktoś, kogo nazywają lotnikiem, chociaż nigdy nie prowadził samolotu. Ten ktoś wszystko wówczas burzy. (Tu każdy się domyśli, że lotnikiem jest ręka któregoś z naszych przełożonych.

Szefem naszej kompanii jest „pan X z Gorlic“ jednogłośnie na wniosek... (czyj, boję się napisać) nazwany „fakirem“.)

Jest to postać bardzo chuda, niska, o dużej głowie w stosunku do całego korpusu, nieco mniejszym mózgu, wypukłym czole i małych świdrowatych oczkach.

Jest on potrosze i „filozofem“. Wygłasza bowiem przy każdej sposobności pewne swoiste sentencje. Pracujemy np. przy otaczaniu klombów kamieniami.

„Kamienie należy ułożyć równo pod sznurek“ mówi, a raczej krzyczy „fakir” błyskając oczyma.

„A gdzie jest sznurek?” — pyta naiwnie Pedziu.

„Oko jest sznurkiem“ — pada odpowiedź.

Innym razem oznajmił nam „fakir“ ku ogólnemu zdziwieniu, że u niego dzień trwa 24 godziny. Motywował to tym, że o ile nie skończy jakiejś pracy za dnia, to pracuje w nocy, która staje się wtedy dniem dla niego.

Pewnego razu stoimy na baczność. Ktoś się poruszył i coś powiedział do sąsiada. „Baczność to mur, a mur to milczy“ — ryknął „fakir“.

W ogóle w czasie całego pobytu na obozie spotykamy się z wieloma powiedzonkami zwłaszcza ze strony naszych przełożonych, które w humorystyczny sposób określają nam, jak mamy się w danej chwili zachować. Powiedzonka te może nawet przez to, że są utrzymane w tonie wesołym, łatwo pamiętamy i nieraz zapewne przypomną się nam w czasie musztry czy innych ćwiczeń. Powiedzionek tych przytoczę więcej w innych miejscach.

Na razie odbiegłem trochę od tematu.

Otóż w niedzielę, w 3 dniu naszego pobytu odbyło się uroczyste otwarcie obozu.

Po mszy polowej i przemówieniach odbyła się defil-

począł brasować żagle pod wiatr. „Zorza” uniosła się jak orzeł, który powiewał na jej fanie.

Od niedalekiej Afryki pędził żaglowiec. Z nadętymi żaglami pędził wprost na „Zorzę”, a gdy statki zbliżyły się na odległość strzału, wysunęły się, pchane przez niewidzialne ręce, z luk w burcie paszcze dział, a w chwilę później w obłoku dymu pobiegł na „Zorzę” skierowany pocisk. Przeleciał między bukszprytem, a fokiem, nie czyniąc szkody nikomu.

Na „Zorzy” rozległ się okrzyk: „wara”, wróżący niebezpieczeństwo. Sam komandor obracał zwrotne działa.

Zagrały działa z obydwu stron. Gdyby nie śmierć „admirała” pirackiego, byliby piraci arabscy zwyciężyli. Dziwnym trafem został on ugodzony kulą. Z ręką na sercu i okrzykiem Allach na ustach, otworzywszy ostatni raz przepaściste, czarne oczy, padł Amir el Akba na pokład.

Wnet też czeladź i oficerowie, wstąpili zbrojnie na piracki oktęt.

Z ogromnymi skarbami pozostawiając za sobą przypłowek jeno z pirackiego okrętu, jechał Jan z Kolna do Indii.

— — — — — — — — — — — —

Ląd!... wrzasnął z całei siły Wacek Krak, z bocianiego gniazda.

Wśród załogi powstało poruszenie. Ląd? Jaki ląd? Przecież nikt o lądzie w tych stronach nie słyszał. Wiadomo było, że za Indiami jest tylko morze ogromne, którym do Europy dostać się było można.

Ale kraj? Hm! Mruczeli starzy marynarze. Raz wraz drapał się ktoś do góry, by ujrzeć go na własne oczy.

Jan z Kolna, usłyszawszy okrzyk Wacka, wyszedł z kasztelu, gdzie studiował mapy.

Wytężywszy oczy, ujrzał daleko, daleko, szarzejący pasek lądu. Ledwie widoczny, zlewał się z horyzontem.

Nim dopłynęli do lądu, zapadła noc. Wśród bezsennej nocy słyszał Jan zmiany warugi i bełkot rolingi.

Ciemne pinie rosły na brzegu. W piersi Jana, na widok słonecznych gór, głębokich jarów i lasów, załkało coś radośnie. I wszyscy mieli łzy w oczach, gdy dostali się na ów ląd nieznany, przez nich pierwszych odkryty.

Weszli w las. Otoczył ich chłód. Stawiając szerokie, marynarskie kroki, szli, wchłaniając woń puszczy.

Wtem, w gęstwinie ukazał się oddział Indian. To nagłe spotkanie zadziwiło ogromnie tak białych jak i czerwonych.

Czy ciekawość Indian uratowała Polaków, nie wiadomo. Dość, że po długim a śmiesznym gadaniu na migi, zawarto związek krwi.

Wkrótce powiedziono białych do obozu. Z rozwartymi, oczarowanymi oczyma patrzał Jan, jak giętkie, zwinne ciała Indian przeginały się w szalonym tańcu, przy wieczornym ognisku.

— — — — — — — — — — — —

Jan zżył się z czerwonymi braćmi. Nucił kołysankę mu bór, podniecały go łowy na jelenie, nauczył się mowy Indian. A „Zorza” stała na kotwicy i czekała żeglarza.

Wrócił Jan na „Zorzę”, by nieść światu wieść o nowoodkrytym lądzie. Na brzegu żegnali go serdeczni, czerwoni towarzysze. Ostatni raz prosił ich o wyrzeczenie tych dwóch prostych, polskich, a tak dla nich trudnych słów: „Polska i Bałtyk”.

---

da, na której nasza kompania zaszczytnie się wyróżniła.

Wieczorem zasiedliśmy po raz pierwszy do ogniska obozowego.

Poszczególne kompanie występują ze swymi produkcjami przy blasku buchającego ogniska.

Snop iskie ropada na tle czystego, gwiaździstego nieba. Marzę słuchając pieśni legionowych — jest mi dobrze.

Od chwili otwarcia obozu nasze życie zaczęło pulsować jednostajnym rytmem wśród zżycia i harmonii koleżeńskiej.

Rano budzi nas pobudka, dźwięk ogólnie nielubiany, toteż marzeniem ściętej głowy byłoby spokojne i ciche wstanie bez utyskiwań na to brutalne wyrywanie nas z objęć Morfeusza (tym bardziej, że są to przecież wakacje).

Wybiegamy w gimnastycznych spodeńkach na zbiórkę — jeszcze zaspani, z włosami pozostającymi w straszliwym nieładzie.

Kilkanaście minut gimnastyki na porannej, iskrzącej się w promieniach wstającego słońca rosie, napełnia nasze członki krzepkością i siłą.

Po gimnastyce myjemy się szybko w lodowato zimnej wodzie Popradu i już po chwili ubrani maszerujemy w kierunku kuchni obozowej.

Dźwięk trąbki wołającej nas na śniadanie jest o wiele milszy dla naszych uszu, niż ten, który nas budzi ze snu (komentarze chyba zbyteczne).

Po zaspokojeniu naszych wilczych apetytów maszerujemy na ćwiczenia. Ranne ćwiczenia są godzinami naszej rzetetelnej pracy, podczas której niejednokrotnie leje się z nas pot i występuje zmęczenie.

Ćwiczymy jednak wszystko z ochotą — musztrę zwartą, luźną, walkę i tp.

„Baczność“ !!!

„Co to za ruszanie się?” „Poderwanie złe!!”

„Na baczność tak się junak podrywa, że wylatuje z portek, a portki zostają!!“ (nie wciągnięte, gdyż ruszać się nie wolno.) W tym miejscu bardzo przepraszam czytelników, a zwłaszcza czytelniczki, lecz chcąc dać o ile możności dokładny obraz naszego życia obozowego muszę posłużyć się tak „pospolitymi” i niewyszukanymi wyrazami.

„Spocznij!!!”

Ziemia powinna jęczeć pod nogami, a te krowy, co tu stoją, powinny z przestrachu o sto metrów już od nas „odlecieć”.

„Baczność!!!”

„No! Teraz lepiej. Szkoda tylko, że wy, junak, wy,



WIECZÓR AUTORSKI

Jerzego Kłosowskiego, Henryka Einhorna i Zdzisława Wróblewskiego

Wieczór autorski „Przełęcz” dał nam wiele głębokich wzruszeń i estetycznych przeżyć. Pokazał nam dorobek młodych poetów, dorobek duży i piękny, z którego dumni jesteśmy bardzo — bo w tych utworach, w tych młodych jeszcze, lecz pięknych, i dalekich już szczytów sięgających wzlotach widzimy lepszą przyszłość naszej literatury, przechodzącej choćby taki kryzys, jak ślepe dążenia do oryginalności, do unowocześnienia, czego obrazem najjaskrawszym jest chyba modny — autentyzm...

Scharakteryzowanie choćby najpobieżniejsze ich twórczości jest bardzo trudne. Tworczość to tak bo-

---

wy... tam w drugim szeregu głębiej w nosie nie dłubiecie!”

„Równaj w prawo!!!” Źle!

„Główki się powinny tak nagle skręcić w prawo, jakby je ktoś nagle za noski pociągnął!!“

„Baczność!!!” Na ramię broń!! Do nogi broń!! Na ramię broń!! Prezentuj broń!!!”

„Silnie uderzyć ręką o zamek! Nie bać się! Niech pęknie!” „W tył biegiem rozejść się!!”

Źle! W tył biegiem rozejść się — to tak, jakby proszek zdmuchnął z ręki! Nie ma nikogo!!

5 minut przerwy!

Po ćwiczeniach wracamy do obozu. Maszerujemy żwawo. Raz — dwa, raz — dwa, raz, dwa, trzy, cztery, lewa, lewa, a główki trzymać w marszu prosto! Nie bać się — w otchłań nie wpadniecie!

Wracamy zmęczeni fizycznie, lecz duch zawsze wesół. Dowodem tego to gromkie pieśni, jakie śpiewamy: „Przy piechocie“, „Marsz. Śmigły Rydz”, „Siwy gołąbeczek” czy „Gołąbeczek siwek” (to ostatnie jak kto woli).

Po powrocie czyścimy w obozie broń, a następnie rzucamy się na proste a zdrowe potrawy żołnierza, do których się bardzo szybko przyzwaczailiśmy.

Po obiedzie następuje czas przeznaczony na W. F. Kąpiemy się, uprawiamy gry sportowe.

O 17 godz. idziemy jeszcze na godzinkę ćwiczeń, tym razem lekkich, przeplatanych wykładami teoretycznymi.

Po modlitwie udajemy się na zasłużony wypoczynek. Pomimo tego, że wypoczynek ten jest naprawdę zasłużony, nieraz przerwany zostaje niespodziewanym alarmem.

W ciszy — szybko się ubieramy, chwytamy za maski i karabiny i już biegniemy na plac zbiórki w zwartym szyku.

Tam dopiero każdy porządkuje swą garderobę. Tu też niejeden konstatuje w zdumieniu, że w pośpiechu założył odwrotną stroną bluzę, czy nawet... spodnie.

Na wszystkie alarmy obozowe — nasza kompania przybyła pierwsza. (Tu czytelnik proszony jest o wzniesienie triumfalnego okrzyku na cześć naszej sprawności; o ile jednak czyta te słowa na godzinie szkolnej — może nie manifestować.)

Do najmilszych ćwiczeń należały ćwiczenia nocne. Maszerujemy w milczeniu, nikt nie rozmawia, gdyż nie wolno.

gata i różnorodna, tak wielkie w niej bogactwo tematów, że podciągnięcie jej pod jakoweś reguły czy formy sprawozdawcze jest prawie niemożliwe.

Dziwna jest poezja Kłosowskiego. Męska, twarda, pełna mocy i nieugiętej siły. Poezja, która potrafi silnie oddziałać, poezja, która nas rzuca w jakiś inny, nieznany i obcy świat, wtrąca nas w dziwny stan, którego wprost opisać nie można. Ma i ona zabarwienie liryczne, lecz widać, że autor jest przede wszystkim człowiekiem rozumu, więc też myślowo i rozumowo, po męsku podchodzi do zagadnień.

Forma wierszy wspaniała, wycyzelowana i wygładzona do ostatka, powiedziałbym — przechodzi nieraz wprost do przerafinowania w swym pięknie.

Wiersze Einhorna — to mocna liryka refleksyjna, liryka połączona w dziwny sposób z filozofią. Często daje w niej autor obrazy swych wewnętrznych przeżyć, myśli, uczuć — i przez to jest ta poezja bardziej bliska: serdeczna.

Wspaniały był wiersz pt. „Błazeński prolog". To wiersz programowy. Roztacza w nim autor obraz błazna, pajaca, który postawiony przed tłumem ma się śmiać i bawić go, chociaż mu ból rozszarpuje serce... Dochodzi autor do tego, że widzi na świecie tylko ból i nędzę, którą głęboko odczuwa, którą przeżywa — „Czyż moja poezja z bólu i męki zrodzona ma się śmiać?!" A do pajaca mówi: „Pajacu — tańcz! Śmiej się! Śmiech twój to pieniądz, to chleb!"

Widać tu ból ogromny i jakąś tępą rezygnację, a nade wszystko tę codzienną tragedię człowieka, który się musi śmiać — dla chleba — chociaż go ból okrutny szarpie.

Dużo prawdziwego, szczerego uczucia i czystego liryzmu zawierają w sobie wiersze Z. Wróblewskiego. Niektóre z nich to prześliczne, pastelowe obrazki, nasycone złotym słońcem, purpurą kwiatów — albo smętkiem jesieni otulonej srebrnym przędziwem pajęczyn... Poeta częstokroć czerpie z zewnątrz tematy do swych wierszy (np. cykl „Melodie zmierzchu", „Preludium deszczowe", „Jabłonie", „Chryzantemy„...) — w sposób nadzwyczaj subtelny, a i mistrzowski zarazem, oddaje nastrój i to właśnie stanowi najistotniejszą cechę jego poezji. Czasami przebijają się w niej tony subtelnej erotyki ujęte w bardzo delikatny i niedostrzegalny prawie sposób. Rytmika wierszy — melodyjna i doskonale zharmonizowana z nastrojem przyczynia się jeszcze bardziej do podniesienia nastroju i wyrazu wiersza. Język jest b. piękny mimo (a może właśnie dlatego), że autor nie operuje prawie wcale ultra-nowoczesnymi metaforami i efektami wersalnymi.

Przepięknie na przykład odczuty jest wiersz jesienny:

„Na jesienią sinych polach — srebrnych nitek mgła,
W rżyskach rosy opalowe — w zielskach dola zła,
Roztęskniony głos wierzbiny — zły sierocy los,
W trawach krwawe łzy kaliny — jasny, płowy wrzos...

Nocną ciszę przerywa jedynie miarowy stukot butów szup — szup — szup — szup.

Po ćwiczeniach leżymy w lasku. Noc jest ciepła. Nad nami migocą gwiazdy, księżyc kokieteryjnie wygląda zza chmurki.

Na tle nieba wystrzelają w górę tajemniczo wierzchołki sosen.

Do uszzu dolatuje kojący szum Popradu.

Tu i ówdzie błyskają ogniki papierosów. Wypoczywamy.

I tak mijają dni, dostarczające nam wielu wrażeń, na pozór podobne do siebie a jednak różnorodne.

Każdy dzień przynosi z sobą iskierkę radości, czasem cień smutku, a nade wszystko poczucie zadowolenia z dobrze wypełnianej pracy. Płynie nam to życie wartko wśród humoru i radości. Nie mąci go nawet to, że modnym jest „podpylanie" wszelkich przysmaków, jakie kto z domu otrzymał.

Naszego zżycia nie mącą chwilowe spory.

Gdy zachodzi potrzeba, gotowi jesteśmym działać wszyscy razem dla wspólnego celu.

Nadchodzą ostatnie dni pobytu na obozie. Zdajemy egzaminy teoretyczne i praktyczne z tego, czego nauczyliśmy się w służbie P. W.

W ostatnim dniu pobytu przyjechała orkiestra z Nowego Sącza. Przyjechał gen. V. na defiladę mającą zakończyć nasz obóz. Uroczyste to zamknięcie obozu... nie odbyło się.

Dwa dni siąpił zimny, dokuczliwy deszcz prawie bez przerwy, zarażając nas sennością i melancholią.

Ożywiliśmy się dopiero z chwilą powrotu do domu. Maszerujemy... przepraszam, znów się pomyliłem.

Tym razem właśnie jedziemy z powodu roztopów i deszczu. Deczcz nas witał i żegnał zarazem (jak to się zwykle wzdycha sentymentalnie).

W domu zasypiam w łóżku (tym razem wyrażam się ściśle, mówiąc o łóżku). Jest mi wygodnie. Tak. Pomimo to żal mi tych niezapomnianych chwil, jakie spędziłem na obozie.

W myśli majaczą mi się ćwiczenia. Jedną pchnij, dwoma pchnij, do postawy...... zasypiam.

TADEUSZ LANGER II lic. mat-fiz. 368



albo na przykład:

Kocham wszystkie zmierzchy
I wonne wieczory,
Białe mgły leniwe
Modlący sie las,
Kocham smutnych sosen
Senne rozhowory — i ten cały mrokiem
Nasiąknięty czas...

Najpotężniejsze wrażenie robiły swoją mocą i siłą wiersze Kłosowskiego.

Wiersze, których się wprost nie da zapomnieć — to „Judasz” Einhorna (wspaniale wygłoszony przez p. Kassubè) i „Judasz” Wróblewskiego (równie potężnie i wstrząsająco recytowany przez pana Sentycza).

„Judasz” Einhorna utrzymany był w dawnym, starym charakterze. Odzwierciadla w nim autor szapiącą, okropną rozmowę, głęboko psychologicznie zakreśloną, pomiędzy Judaszem a Sulamith.

„O — Sulamith — na mym czole kropla Jego krwi!”

A potem bezpamiętne, ślepe dążenia do ugaszenia tego strasznego pożaru, co mu rozżagwiał duszę — Wina! Wina! I wreszcie straszne, grozą oszalałe wołanie o sznur!

Bardziej nowoczesny był „Judasz” Wróblewskiego. Maluje nam autor złoczyńcę, bandytę, który jeszcze w ostatnich chwilach myśli o zrobieniu komuś krzywdy. —

„A — gdyby tak pod ołtarz palącą rżnąć pochodnię!” I również straszne, okropne wołanie o sznur!!

We wszystkich wierszach można wyróżnić jedną, stałą cechę, a mianowicie głębokie umiłowanie i odczucie cudowne muzyki Szopena; najpiękniej przedstawił ją Kłosowski w spaniałej wizji Mistrza przy fortepianie. Mistrz gra, a z palców zsącza mu się cudowna muzyka... Obok szeleszczą krwawe liście winogradu...

Program wieczoru był naprawdę wspaniały i stał na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

ROMUALD CABAJ

Podziękowanie.

Komitet Obywatelski Zjazdu Górskiego w N. Sączu, składa młodzieży Państwowych Gimnazjów i Liceów I i II w N. Sączu gorące słowa podziękowania za pełną poświęcenia pracę i pomoc w czasie zjazdu górskiego. W szczególności Komitet dziękuje za ofiarną i bezinteresowną pracę przy urządzeniu Muzeum Ziemi Sądeckiej następującym uczenicom i uczniom: Helenie Barbackiej i Dom. Szkaradkównie (gimn. S. S. Niepokalanek), Ant. Bodzionemu (lic. 368), B. Pitoniakowi (gimn. 368), R. Cabajowi (gimn. 369), E. Pięcie (gimn. 369), Pitoniakowi (kl. I gimn. 369), M. Regule (kl. II gimn. 369), St. Szkaradkowi (kl. III gimn. 369) i E. Wasylkiewiewiczowi (kl. II lic. 369). —

Za Komitet Zjazdu Górskiego
Dr MACIEJ ŁACH
b. starosta pow. nowosądecki
przewodniczący Komitetu.

KRONIKA HARCERSKA

Hufiec harcerek.

Z początkiem bieżącego roku, organizacja nowosądeckich hufców żeńskich ulega wielu zmianom.

Komendantką hufców została druhna prof. Teresa Harsdorfówna. Hufcową hufca I miejskiego została dhna prof. Lidia Scheuerówna. Hufcową hufca II kolejowego została dhna Zofia Zydkowiczówna. Hufcową hufca III wiejskiego została dhna Bronisława Śliwianka. Drużynowymi hufca I zostały mianowane: drużyny I druż. — Jasińska Maria, drużyny III druż. — Garbusińska Wanda, drużyny IV druż. — Świdzińska Kazimiera, drużyny V druż. — Markiewiczówna Helena, drużyny X druż. — Kuhnenówna Anna.

Do pracy tegorocznej przystąpiłyśmy z zapałem zdobytym na kursie dla drużynowych, prowadzonym przez dhnę Zofię Janczównę. Kurs drużynowych, to jedyny obóz instruktorski naszej Chorągwi.

Pomimo wielu harcerek z innych miast, Sącz jak zwykle miał przewagę i naturalnie wodził rej. Symbolem naszej drużyny obozowej były dęby otaczające zewsząd naszą równiańską łąkę.

„Dęby” — jak dziś pamiętam zdobycie tego godła i pierwsze nasze ognisko. Krótka żołnierska gawęda naszej komendantki wpoiła w nas zrozumienie naszych celów i obowiązków. Trzy tygodnie wspólnego życia, na często łamiących się pryczach, w stałym kontakcie z przyrodą, dały nam dużo zadowolenia wewnętrznego. Nic więc dziwnego, że ze smutkiem i trwogą myślałyśmy o dniu rostania.

Ostatni apel. W głąb serc naszych padają stanowcze słowa komendantki. Rozkaz, mianowania, przyznawanie stopni i sprawności i ostatnie pozdrowienie sztandaru. Łzy cisną się do oczu, które wpatrzone w łopocący w górze sztandar są stanowcze, obrazują uczucia dumy, która jest pełna ochoty i zapału do pracy. Czuwaj! Ostatni okrzyk „Dębów“, odbija się od dumnych drzew, które przez trzy tygodnie patrzyły na naszą pracę. Ostatni uścisk dłoni komendantki żegnającej swoje dziewczęta. — Czuwaj!

Inne obozy sądeckie zgrupowały się na Łemkowszczyźnie, gdzie starały się współżyć z ludem. Od najmłodszego zucha każda harcerka wedle swych sił pracowała. Czasem „szare“ dnie obozowe przybierały jaskrawe barwy, najbardziej lubianymi były „dnie zielone”, które są najweselszymi na obozach.

Nie koniec jednak na tym. Nasze sądeckie harcerki zapragnęły po wodzie Dunajcowej spróbować wód wileńskich i pojechały na obóz GKi nad Narocz.

Plusk wioseł i szum sosen były stałym akompaniamentem śpiewów i rozmów. Słuchając opowiadań i przeglądając fotografie widzę spokojnie kołyszące się żaglówki, na których roześmiane harcerki pasują się z wiatrem.

Dwa miesiące upłynęły od tamtych chwil przeżytych naprawdę po harcersku. Przez ten czas stale opowiadałyśmy jedne drugim swe przeżycia. Dziś jednak uwaga nasza zwrócona jest na inny tor.

„Melduję przed całą Polską, że wypełniliśmy nasz obowiązek harcerski“ — słowa harcerza cieszyńskiego nigdy nie zatrą się w naszych sercach. Bracia nasi z śp. dhem Witoldem Regerem stworzyli drugie „Orlęta„

składając swe życie w służbie obowiązku. Pamięć o poświęceniach tych harcerzy, a szczególnie pamięć o śp. dhu Regierze, który padł od zaborczej kuli nie zginie nigdy. Dla tego też pozdrówmy pamięć i druha hm Witolda Regera tym hasłem, któremu do ostatniej chwili życia służył „Czuwaj!"

JASIŃSKA MARIA
Kl. I lic. przyr.

Hufiec harcerzy.

Pracę harcerską w hufcu męskim ruszono z miejsca. 2. IX. odbyła się Rada Hufca, na której omówiono program pracy w nowym roku.

Organizacja hufca poza nielicznymi zmianami na stanowisku drużynowych pozostała ta sama.

Pracę harcerską rozpoczęto mszą św. odprawioną w kościele szkolnym przez ks. dr. Cierniaka.

W związku z wydarzeniami na Śląsku dnia 29 IX. odbyła się uroczysta zbiórka ku czci ś. p. phm. dh. W. Regera, poległego w walce z Czechami, wespół z hufcem żeńskim, w domu im. gen. Pierackiego. Zbiórka miała raczej charakter radosny wobec już dokonanego faktu przyłączenia Śląska do Macierzy. Po przemówieniu dh. hm. Wąsowicza, odczytaniu rozkazu, odśpiewaniu hymnu „Wszystko co nasze" i „Jeszcze Polska" w czwórkach udano się ulicą Jagiellońską w celu zamanifestowania uczuć radości...

W tak ważnej chwili całe harcerstwo stało na straży. Rozkaz Naczelnictwa Z. H. P. brzmi: „Nadszedł czas, w którym hasło nasze „czuwaj" brzmi, jak programowy nakaz dni bieżących... Ku braciom naszym za Olzą biegną nasze najserdeczniejsze myśli. Gdy zajdzie potrzeba, myślom naszym... damy wyraz w czynach". Rzeczywiście cały związek tak był nastrojony i tak czuł z okazji odzyskania Śląska.

Należy wspomnieć, że hufiec męski odbył tegoroczny obóz hufca na Łemkowszczyźnie — druhowie pełni wrażeń wrócili do nowej pracy harcerskiej.

Szczęść Boże!

Czuwaj! (st)

KRONIKA

Gimnazjum żeńskie, Liceum przyrodnicze i pedagogiczne 448

Wypoczęte i ochotne, z nowym zasobem siły fizycznej i duchowej, stanęłyśmy u progu nowego roku szkolnego, który jak zwykle rozpoczęłyśmy uroczystym nabożeństwem.

Ponieważ wybory zarządu naszej gminy szkolnej zostały przeprowadzone z końcem roku tamtego, ster ujęło w swe ręce energiczne prezydium, pociągając za sobą gminy klasowe. Życie samorządowe płynie normalnym trybem.

Na zebraniu Naczelnej Rady Gminnej, które odbyło się 20 IX, wójciny oraz przewodniczące sekcji i kółek szkolnych przedstawiły całoroczne plany pracy, oparte na ramowym programie.

Uczennice korzystają już ze spółdzielni, biblioteki, poradni lektur i czytelni, która barwnymi afiszami przypomina koleżankom o swoim istnieniu.

Pomoc koleżeńska i sekcja gospodarcza pracuje jużnormal nie, wydając koleżankom śniadania na pierwszej i drugiej przerwie.

Odbyło się już zebranie L.O.P.Pu, który ma zamiar wciągnąć do pracy możliwie wszystkie koleżanki.

Korzystając z ślicznej pogody, jaką obdarzyła nas tegoroczna jesień, poszczególne klasy urządziły wycieczki, a więc: Lic. pedag. kl. l. do Ptaszkowej; kl. IV b. na Ostrą; kl. III a. do Rytra; kl. III b. na Przehybę.

DUBIELÓWNA B. III a.

Gimnazjum i liceum 369.

Rok szkolny rozpoczęto uroczystym nabożeństwem dnia 5 września. Koledzy wrócili z wakacji z nowym zapasem sił i chęci jak najlepszych do pracy twardej lecz zaszczytnej.

15 września odbyła się spowiedź i Komunia św. uczniów całego zakładu.

Pracę samorządową na terenie gimnazjum zainicjował Główny Zarząd Gminy odbyty pod przewodnictwem prezesa dnia 18 września.

Głównie w tym półroczu zwrócono uwagę w planie pracy na opiekę nad szkołą polską w Łabowej i na Polesiu, gdzie już wysłano przybory szkolne, nadto postanowiono nawiązać kontakt z pracą Białego Krzyża na terenie Sącza.

Kółka i organizacje rozpoczęły swą pracę, a kółko historyczne odbywa regularnie co tydzień swoje zebrania.

Koledzy z niecierpliwością oczekują otwarcia świetlicy i czytelni, które ma nastąpić wkrótce wraz z akademią, z okazji 100 rocznicy urodzin A. Asnyka.

Tymczasem klasy licealne (hum. i przyr.) odbyły emocjonującą wycieczkę przez Warszawę nad polskie morze i z powrotem przez Gdańsk, Poznań i Kraków. Czas wycieczki od 18—25 września.

Wrażenia z wycieczki odnieśli koledzy jak najlepsze i z nowym zapałem wrócili do ławy szkolnej Nawiasem mówiąc, już od 6 lat klasy ostatnie jadą nad morze.

Powrót Śląska Zaolziańskiego do Polski nie przeszedł bez echa. S. M. uczciła ten dzień dziękczynym nabożeństwem w kaplicy.

Ostatnio 7 października klasy trzecie wyjechały na wycieczkę do Warszawy.

(ts)

Gimnazjum 368.

Z rozpoczęciem roku szkolnego wznowił prace samorząd, na czele którego stoi obecnie jako wójt naczelny kol. Rojek wraz z zarządem kl. II liceum mat.—fiz.

Prowadzenie szeregu organizacji i kółek przydzielone zostało przez naczelny samorząd poszczególnym klasom.

Najbardziej ożywioną działalność wykazują dotychczas kółka: motoryzacyjne oraz filmowe, prowadzone przez kl. II liceum.

W każdy poniedziałek odbywa się otwarcie tygodnia na aktualny temat.

Dnia 13 września podejmował samorząd wycieczkę Polaków z Niemiec, bawiąca już około tygodnia w Polsce.

Po zwiedzeniu Nowego Sącza goście wyjechali do Rożnowa.

Wieczór odbyła się wydana przez samorząd kolacja, w której wzięły także udział delegacje wszystkich klas. 15 września wycieczka odjechała do Bytomia.

Uł. B. WALCZYŃSKA
Lic. Przyr.

Rozrywki umysłowe



1.

BILETY WIZYTOWE

DR. JAN I. KRÓCZY

KINNE i DURSKI

Gdzie mieszkają ci panowie?

2.

Wówczas, spłaty, Maciejowice, przyczajony, przestroga, zacisze.

Z każdego wyrazu biorąc po 3 sąsiednie litery utworzyć znane przysłowie.

3.

ARYTMOGRAM

13, 20, 10, 21, 19, 7, 22, 15 – 15, 10, 17, 6 – 12, 10, 1, 4, 3, 10, 2 – 19, 13 – 8, 12, 4, 17 – 16, 11, 18, 12, 20, 19, 2 – 17, 6, 9, 4, 3, 12, 4 – 7, 6, 19 – 11, 2, 19, 3, 12, 5, 16 – 13, 20, 10, 21, 19, 7, 22, 15 – 9, 13, 10, 6 – 20 – 18, 12, 4, 17 – 11, 2, 4, 3, 12, 4 –

Klucz do arytmogramu

2, 4, 1, 20, 17, 6, 3, 4, 6 — urząd miejski
3, 19, 21, 4 — olej skalny
21, 19, 16, 10 — grunt orny
4, 3, 6, 5, 16, 10, 3, 20, 4 — konnica, rodzaj broni
6, 4, 15, 10, 2, 13, 20, 8, 4 — sekret
12, 1, 3, 19, 2, 4, 18, 13, 10, 13, 20, 10 — wiec
14, 11, 17, 7, 4 — nabój
3, 22, 1 — służy do trąbienia.

4)

KONIKÓWKA

im	ka	den	ża	wcą.
czło	się	swo	ni	je
a	wła	nie	do	wa
za	wiek	prze	jest	czen
snym	sam	mę	u	śla

Wydawca: Komitet Redakcyjny. Redaktor odpowiedzialny: Eugeniusz Pawłowski.
Drukiem Zakładów Graficznych K. Sieradzka dawniej R. Pisz pod zarządem Rudolfa Wolwendera w Nowym Sączu ul. Jagiellońska 5.